Biblioteka
UMK
Toruń
22
410693

Gerharda Hauptmanna

Róża Bernd

dramat w pięciu aktach

Z upoważnienia autora przełożył

Jan Kasprowicz

Skład główny w księgarni
G. CENTNERSZWERA i S^ki w Warszawie

Nakładem Księgarni Dr J. Marchlewski & Co w Monachium
Główny skład na Galicyę w Księgarni H. Altenberga we Lwowie

1.20
0,25.

Róża Bernd

Odbito czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

Róża Bernd

Dramat w V aktach

Gerharda Hauptmanna

Z upoważnienia autora przełożył

Jan Kasprowicz.

Nakładem Księgarni Dr. J. Marchlewski & Co
w Monachium.
Skład główny na Galicyę w Księgarni H. Altenberga
we Lwowie.

1003-I-A

Wszystkie prawa zastrzeżone.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU
410693

K. 3114/70

SPIS OSÓB.

Bernd
Róża Bernd
Martusia
Krzysztof Flamm
Pani Flamm
Artur Streckmann
August Keil
Hahn
Heizeln
Gollisz
Kleinert
} Robotnicy poln.
Stara Golliszowa
Starsza dziewka
Młodsza dziewka
Żandarm

AKT I.

Równa, żyzna okolica. Jasny, słoneczny, ciepły ranek majowy. Od strony lewej ku prawej, a z głębi sceny ku przodowi, ciągnie się ukośna miedza. Pola po prawej stronie leżą nieco wyżej od niej. Najdalej ku przodowi mały kawałek kartofliska, na którem widać już zielone łęty. Mały, kwiecisty rów oddziela drogę od pola. Po lewej stronie, na stoku mniej więcej wysokości mężczyzny, stara wiśnia — po prawej krzewy leszczyny i tarniny; mniej więcej równolegle z drogą, a w pewnem oddaleniu po za nią, szereg wierzb i olch oznacza bieg potoku. Odosobnione grupy starych drzew nadają okolicy wygląd parku. Na lewo, w głębi sceny, widać dachy i wieżę wsi kościelnej, wyzierającej z po za krzewów i wierzchołków drzew. Na przedzie po prawej przy drodze krucyfiks. Niedziela. **Róża Bernd** piękna, silna, dziewczyna wiejska, lat 22, wychodzi niespokojna i z poczerwieniałą twarzą z lewej strony z po za krzewów, siada na stoku drogi, rozglądnąwszy się przedtem lękliwym, badawczym wzrokiem naokoło. Bosa, z podwiniętą spódnicą, z nagiemi ramionami i szyją; usiłuje spleść znowu jeden z jasnych rozplecionych warkoczy. Krótko potem zjawia się z zarośli z drugiej strony mężczyzna. Jest to właściciel sołtystwa, **Krzysztof Flamm.** I Flamm zachowuje się trwożnie, wyglądając równocześnie, jakby się czemś bawił. Jest to okazały mężczyzna, ubrany sportowo, ale nie jak modniś, lat blisko 40-tu. Trzewiki ma sznurowane, myśliwskie pończochy, na rzemieniu prze-

wieszoną ma butelkę, obszytą w skórę. W ogólności jest Flamm silnym, zdrowym, pełnią życia tryskającym, imponującym o szerokich ramionach, nader sympatycznem zjawiskiem. Usiadł na stoku w odpowiedniem od Róży oddaleniu, poczem oboje patrzą na siebie milcząco i za chwilę niepowstrzymanym wybuchają śmiechem.

Flamm (z wrastającem ożywieniem śpiewa coraz głośniej i serdeczniej, wybijając przytem takt, jak kapelmistrz):

Po niwie i po lesie
Radość mnie wielka niesie
Na łowy! hej na łowy
Do zielonej dąbrowy!

Róża (z początku przerażona śpiewem, potem coraz bardziej rozweselona, starała się kilkakrotnie zakłopotanie swoje pokryć śmiechem). Ale nie — panie Flamm.

Flamm (raźnie i wesoło). Śpiewajże razem ze mną, Róziu.

Róża. Ależ ja przecie śpiewać nie umiem — panie Flamm!

Flamm. Ależ to nieprawda, Róziu! Słyszałem cię nieraz, jak śpiewałaś:

Rozłogiem i lasem... No!?
Na koniu łowiec pędzi.

Róża. Ależ ja tej piosenki wcale nie umiem, panie Flamm!

Flamm. Mogłabyś już raz przestać mówić panie Flamm?! co?

Dziewczyno, siądź przy mnie, siądź przy mnie.
Przy moim boku siądź! —

Róża (lękliwie). Ależ, panie Flamm, ludzie tu zaraz przyjdą z kościoła.

Flamm. Niech sobie idą. (Wstaje i wyciąga strzelbę z dziupli drzewa wiśniowego). W każdym razie przewieszę sobie strzelbisko. Tak. — Kapelusz! Fajka! — no teraz mogą sobie iść, jak chcą. (Przewiesił sobie strzelbę, poprawił kapelusz z piórkiem głuszca, wyciągnął krótką fajeczkę z kieszeni i włożył ją do ust). Popatrz ino, co za grube wiśnie. (Podnosi garść wiśni i pokazuje Róży. Z siłą, z głębi wnętrza). Żebyś ty była moją żoną, Róziu!

Róża. O la Boga! panie Flamm!

Flamm. Naprawdę, Róziu.

Róża (lękliwie, jakby się broniła). Ależ nie! nie!

Flamm. Róziu! Podaj mi to szczere, dobre łapsko. (Bierze ją za rękę i siada). Naprawdę, Róziu! Widzisz, ze mnie jest dyabelnie dziwny człowiek. Ja, widzisz, dyabelnie kocham moją mateczkę...

Róża (zasłania sobie twarz łokciem). Ależ to się odrazu można zapaść w ziemię!

Flamm. ...Dyabelnie lubię żonę, mówię ci... ale — (wyczerpała mu się cierpliwość) ...ale to ją nic nie obchodzi.

Róża (nie może się znowu powstrzymać od śmiechu). Nie, co też pan mówi, panie Flamm!

Flamm (serdecznie, z podziwem). Dziewczyno! ja-

ka z ciebie piękna kobieta! — Ach, dziewczyno, piękna jesteś jak obraz! — bo widzisz: matka... z matką i ze mną to dziwna historya. Tego tak odrazu wyłuszczyć nie można. Henryka, widzisz, jest chorą. Od dziewięciu lat z okładem leży w łóżku, czasem wygrzebie się na wózek. — No — do pioruna! na cóż mi się to przyda?! (Bierze ją za głowę i gwałtownie całuje).

Róża (przerażona pocałunkami). Ludzie zaraz przyjdą z kościoła!

Flamm. Nikomu to w głowie! — Co cię tak naraz obchodzą ludzie?

Róża. Bo i August jest w kościele.

Flamm. Pobożnisie zawsze są w kościele, bo gdzieżby indziej mogli być pobożnisie. Róziu, nie ma jeszcze w pół do jedenastej — a jak się skończy, to przecież będą dzwonić — nie — nie! O mateczkę bać się nie potrzebujesz.

Róża. Ach! Krzysztofie! Ona tak czasem spojrzy na człowieka, że ino się zapaść w ziemię.

Flamm. Poprostu, nie znasz mojej starej! Matka jest chytra, przewierci oczami trzy deski! Ale przez to... jest też dobrą, jak owieczka... A gdyby i wiedziała, co pomiędzy nami było, to juścić by nam głowy nie urwała.

Róża. Nie! nie! Ach la Boga, panie Flamm!

Flamm. Ach co? Róziu! Może tabaczki? hm?... (zażywa tabakę). Mówię raz jeszcze: mnie to wszystko

jedno! (z oburzeniem). Co ma zresztą taki chłop, jak ja, robić? No — cóż to? — Cóż się stało, Róziu? — Wiesz przecie, jak ja się poważnie na to zapatruję. Trzeba się już raz do tego zabrać, jak się należy.

Róża. Panie Krzysztof — pan taki dobry dla mnie!... (ze łzami w oczach całuje gorąco ręce Flamma) ale...

Flamm (nieco zdumiony). Dobry? sztuka! Niech mnie kaci, Róziu! Dobry dla ciebie — to za mało! Gdybym był wolny, tobym się z tobą ożenił. Jestem, widzisz, przepadły człowiek! Nie mówiąc już o innych rzeczach! Możebym się nadał... tak, kto wie, do czego!? — Mógłbym być teraz starszym radcą leśnym! A jednak, gdy stary umarł: hejda do domu! Koniec karyery. Ot, poprostu, nie nadaję się do wyższych szwindlów. Dla mnie to wszystko jeszcze za bardzo jest kulturne. Szałas! strzelba! szynka niedźwiedzia! a jak się który zjawi: ładunek śrutu w tyły...

Róża. Ależ to tak nie idzie, panie Flamm! — I... raz to się już skończyć musi.

Flamm. Do stu piorunów! Czyż ten zapamiętały pobożniś nie ma czasu? Czyż dla tego draba nie zostanie jeszcze dosyć? Nie, dziewucho, ja bym go odprawił, jak się należy.

Róża. Wodziłam go dosyć długo. Czeka już przeszło dwa lata. A teraz już nalega. Nie chce już czekać! No i naprawdę, tak dalej pójść już nie może.

Flamm (wściekły). To wszystko głupstwo, rozumiecie mnie. Dotychczas harowałaś na ojca; nie masz wyobrażenia, co to znaczy życie, a teraz chcesz jeszcze pójść w zaciąg do introligatora. To podłość, powiadam ci, tak wyzyskiwać człowieka do ostatniej żyłki! Jeżeli niczego więcej nie chcesz, to na to czasu jeszcze dosyć!

Róża. Nie! Krzysztofie... to pan tak mówisz, panie Flamm! Ale gdybyś pan był w takiem położeniu, to myślałbyś inaczej. — Ja wiem, jak źle jest z ojcem! Dwór wypowiedział nam mieszkanie, ma się do niego podobno wprowadzić nowy skotarz! A potem to już jego taka ulubiona myśl, że nareszcie będzie z tem porządek.

Flamm. To niechżeż twój ojciec wyjdzie za Augusta Keila! Jeżeli tak się w tym człowieku zadurzył. To już poprostu graniczy z obłędem.

Róża. Jesteś pan niesprawiedliwy, panie Flamm!

Flamm. Powiedz lepiej... no cóż takiego?... Cóż ja to chciałem powiedzieć?... Ja tego nabożnisia znieść nie mogę! Ten człowiek dużo mnie kosztuje. Nos sobie zatykam ze wstrętu, gdy go widzę. Panie Boże, przebacz — mnie, a przedewszystkiem tobie, Róziu. Dlaczego nie mam być wobec ciebie otwartym? Może być, że ma swoje zasługi! Podobno uciułał sobie jakieś szesnaście dutków. Ale dlatego, nie potrzeba koniecznie włazić w jego klajster.

Róża. Nie, Krzysztofie! Nie gadaj pan tak! Mnie tego słuchać, jak Bóg żywy, nie wolno! — August się dosyć wycierpiał! — Ta jego choroba i to jego nieszczęście... z duszy serca żal się go człowiekowi robi...

Flamm. Was, kobiety, trudno pojąć! Mądra i rezolutna osoba, a tu naraz natrafi człowiek na jakiś punkt, że dziwić się trzeba, jakie wy przecie głupie. Tak ogłupiałe, widzi Bóg, jak gęś, kiedy grzmi. Z duszy — serca żal ci się robi: cóż to ma znaczyć? Mogłabyś także wyjść za jakiegoś rzezimieszka, wypuszczonego z więzienia: z litości albo z głupoty. Powinnaś porządne ojcu wypalić kazanie. Cóż się Augustowi stanie? Powiedz? Wychował się w domu sierot, no i przecież nareszcie odbył swoją drogę. Jeżeli ty nie zechcesz, to mu wyszukają innej. Znają się na tem nasi bracia w Panu.

Róża (stanowczo). Ja nie chcę. I — to już raz być musi, panie Flamm! Co się stało, tego nie żałuję: chociaż w cichości nacierpiałam się dosyć. To znaczy tak, dla siebie. Wszystko jedno! To się już zmienić nie da. Ale: raz to się już skończyć musi — tak dalej być już nie może.

Flamm. Nie może! Powiedz ino: cóż to ma znaczyć?

Róża. To znaczy, że to się już odmienić nie da. Odwlekać tego dłużej nie mogę; i ojciec na

to się już nie zgodzi. I ma w tem zupełną słuszność. Ach Boże, Maryo i Ty Jezu Chryste! Juścić dla mnie to nie łatwo! Ale jak to już raz człowiek zrzuci sobie z duszy... ja nie wiem (chwyta się za serce) mówią, zdaje mi się, że to się serce ściska. Ja mam naprawdę nieraz ściskanie serca... trzeba, żeby to już raz było inaczej.

Flamm. Ha, w takim razie nie mam tu już nic do czynienia. — Na mnie czas! — Muszę iść do domu. (Wstaje i rzuca strzelbę przez plecy). Do widzenia! Adje, Róziu.

Róża (milcząc, patrzy przed siebie osłupiałym wzrokiem).

Flamm. Cóż się stało, Róziu? Do widzenia.

Róża (potrząsa głową przecząco).

Flamm. Nic? — Czym cię może obraził, Róziu?

Róża. Ale już nigdy tak — jak teraz, — panie Flamm.

Flamm (porwany gwałtownym szałem miłości). Dziewczyno! Choćbym się nawet unieszczęśliwił... (chwyta ją w ramiona i namiętnie całuje).

Róża (po kilku chwilach — przerażona). Na Boga! Ktoś idzie, panie Flamm!

(**Flamm** przestraszony zrywa się i ginie w zaroślach). (**Róża** wstaje co tchu, poprawia sobie włosy i suknię, rozgląda się lękliwie naokoło, — nie dostrzega nikogo, bierze motykę i zaczyna się krzątać koło kartofli... Po chwili zjawia się, niepostrzeżony przez nią, maszynista lokomobilowy, Artur Streckmann, w stroju świątecznym. Jestto tak zwany piękny mężczyzna, wysoki, barczysty, w zachowaniu się jego czuć zarozumia-

łość strojnisia. Ma długą, na piersi spadającą, jasną brodę. Z jego postawy, z ubrania, które, począwszy od włożonego na bakier strzeleckiego kapelusika, aż do błyszczących butów z cholewami, do angleza i haftowanej kamizelki, jest nienaganne, widać, że Streckmann nadzwyczaj wielkie ma o sobie mniemanie, że uważa na siebie i że zupełnie jest świadom swojej urody).

Streckmann (jak gdyby w tej chwili spostrzegł Różę, wyśrubowanie dźwięcznym głosem): Dzień dobry! Róziu Bernd.

Róża (odwraca się przerażona). Dzień dobry — Streckmann. (Wahająco). Zkądże ty idziesz? — z kościoła?

Streckmann. Wyszedłem wcześniej.

Róża (zaaferowana i z wyrzutem). A to dlaczego? —Nie mogłeś wytrzymać na kazaniu?—

Streckmann (z pewnością siebie). Ot—ponieważ dzisiaj tak pięknie na dworze! — Babę zostawiłem w kościele. Człowiek musi też zrobić coś i dla siebie.

Róża. Ja bym wolała zostać w kościele.

Streckmann. I dla kobiet jest także miejsce w kościele.

Róża. Masz pewnie grzechów nie mało na grzbiecie! Mógłbyś się też trochę pomodlić o ich odpuszczenie.

Streckmann. Ja-ć tam z panem Bogiem jestem w wielkiej zgodzie. On tam moich grzechów tak sobie akuratnie nie waży.

Róża. No — no. —

Streckmann. Nie wiele się on troszczy o mnie.

Róża. Zarozumiały dureń jesteś!

Streckmann (śmieje się całą gębą i z afektacyą).

Róża. Gdybyś był człowiekiem na miejscu, to byś swojej kobiety tak nie bił.

Streckmann (z błyskiem w oczach). A właśnie! a właśnie! tak się należy! Wam kobietom trzeba pokazać rezon.

Róża. Nie wmawiaj w siebie, żeś jest, Bóg wie, co.

Streckmann. A jakże! Tak jest! Co słuszne to słuszne! I na tej drodze zawsze dochodziłem do celu.

Róża (śmieje się wymuszonym śmiechem).

Streckmann. Ludzie mówią, że chcesz odejść od Flamma?

Róża. Ja przecie już u Flamma nie służę. Toć widzisz, że mam co innego do roboty.

Streckmann. Przecie dopiero wczoraj pomagałaś u Flamma.

Róża. Niech będzie! Ja nigdy nie pomagam! Troszczcie się o swoje sprawy!

Streckmann. Czy to prawda, że się ojciec przeprowadził?

Róża. Do kogo?

Streckmann. Do Augusta — do domu Lachmanna.

Róża. Tego-ć się jeszcze August nie doczekał! Ludzie więcej wiedzą odemnie!

Streckmann. Powiadają, że niebawem urządzicie weselisko?

Róża. A niech sobie gadają, co chcą.

Streckmann (po chwili milczenia, przybliżywszy się kilka kroków ku Róży, z rozkraczonemi nogami). Masz słuszność, na to zawsze jest dosyć czasu! Taka tęga dziewucha, jak ty, nie ma się co tak bardzo spieszyć z ożenkiem: powinna się dobrze wyhulać! Zaśmiałem mu się też w oczy. Nie ma na świecie człowieka, co by tak odrazu uwierzył.

Róża (z pośpiechem). Któż to powiedział?

Streckmann. Keil! August!

Róża. August to powiedział? — Taki to jest skutek ludzkich plotek.

Streckmann (po chwili milczenia). August za wielki jest gaduła...

Róża. Nie chcę tego słuchać! Dajcie mi spokój! Wasze swary nic mnie nie obchodzą! Jeden jest akurat taki sam, jak drugi.

Streckmann. Także gadanie! Tylko tak się nie sierdź.

Róża. O jej! Ludzie o tem wiedzą, jak ty się sierdzisz. Potrzeba tylko posłuchać kobiet naokoło. Takim August przecie nie jest.

Streckmann (śmieje się zarozumiale). A czy ja temu przeczę?

Róża. Bo nie możesz.

Streckmann (ostro z pod przymrużonej powieki). Ze mną nie dobrze jeść wiśnie. Czego ja chcę od kobiety, do tego dojdę.

Róża (szyderczo). No — no!

Streckmann. No — no —! Załóżmy się, Róziu! Chyba nie jeden raz zerkałaś ku mnie. (Zbliżył się do niej i chce ją objąć).

Róża. Niech ci się nie zdaje, Streckmann!— Nie zbliżaj się do mnie.

Streckmann. Kiedy mi się chce...

Róża (odtrąca go). Streckmann!! Powiedziałam ci!—Ja o was wszystkich nic wiedzieć nie chcę— idź sobie swoją drogą.

Streckmann. A cóż ja ci robię? — — — (Po chwili milczenia z na pół złośliwym, na pół zakłopotanym uśmiechem). Poczekaj! Jeszcze-ć my się spotkamy! Mówię ci: jeszcze my się spotkamy! Choćbyś, nie wiem, jakiego udawała świętoszka. — Tam stoi krzyż! Tam stoi drzewo! — Niech dyabli! Takie to są sprawy! Przeskrobałem niejedno, to prawda! — ale... tam pod krzyżem... jak by to powiedzieć... juścić i ja nie jestem od tego, ale przecie bym się wstydził. Cóż by na to powiedzieli ojciec i August? Na ten przykład: ta grusza tutaj ma dziurę. No tak, strzelba tutaj stała.

Róża (zajęta robotą przysłuchiwała się z coraz większą uwagą. Teraz, mimo woli, blada, jak wosk, i drżąca). Co ty powiadasz?

Streckmann. Nic! — Już nic więcej nie powiem. — Ale jeżeli ktoś o tem nie ma pojęcia i ani krztyny o tem nie myśli, to juścić niby taka go przerazi.

Róża (przerażona, nie panując nad sobą, zrywa się i staje przed nim). Coś powiedział?

Streckmann (wytrzymując wzrok jej straszny). Powiedziałem, że niby taka?

Róża. Cóż to znaczy taka?

Streckmann. To nic nie znaczy.

Róża (ściska pięście, przeszywa go wzrokiem, pełnym gniewu i nienawiści, przestrachu i osłupienia, a potem, w poczuciu swojej bezradności, opuściwszy ręce, mówi prawie z płaczem). Ja już sobie tutaj sprawiedliwości poszukam! (Prawą ręką zasłaniając sobie zapłakane oczy, a lewą podniósłszy fartuch do góry, aby sobie wytrzeć nos, wraca łkająca i złamana do roboty).

Streckmann (spogląda za nią z dawnym wyrazem złośliwego chłodu i stanowczości, potem, pobudzony do mimowolnego śmiechu, który wkrótce całą wybucha pełnią): To inaczej być nie może. Nic sobie z tego nie rób! — Cóż ty sobie właściwie o mnie myślisz, Różo Bernd?! — Cóż takiego? — Cóż się stało? — Nic to przecie nie szkodzi!! Dlaczegóż by ludziom nie można wytłomaczyć, że O a U to jedno? Dlaczegoż by nie? — Poco być tak głupią?! — Te, które to znają, to dla mnie najmilsze kobiety! Prawda, taki, jak ja, to się na tem rozumie! — Wierz mi, ja się na tem zawsze znałem.

Róża (nie mogąc się pohamować). Streckmann! Ja sobie co zrobię? Słyszysz! Albo sobie idź precz z tego pola! — Ja jestem... mnie się... stało nieszczęście!!! —

Streckmann (siedzi na miedzy, bije się dłońmi po kolanach). O rety! A dyć, o rety! Panie Jezu! Myślisz, że zaraz pójdę i wszystko roztrąbię? Że cię szarpać będą wszystkiemi bronami? Chciałbym też wiedzieć, co mnie to może obchodzić, jakiemi ty chodzisz drogami, na jakie chodzisz manowce.

Róża. Powieszę się tam, w izbie, na belce! Marysia Szubertówna zrobiła tak samo.

Streckmann. O... z nią inna była sprawa. Ona inne przeskrobała historye! Z nią nie miałem wogóle żadnej spólności. Za coś podobnego nie koniecznie zaraz się wieszać. Nie byłoby chyba już dawno żadnych kobiet na świecie! — To jest tak, jak jest wszędzie. Gdzie człowiek spojrzy, widzi to samo. Inaczej być nie może na świecie. No, tak... śmiać się z tego trzeba! Śmiechu to warte, niczego więcej. Ino że twój ojciec tak na to patrzy z góry, chciałby przebić człowieka swym wzrokiem; kiej człowiek jest trochę nicponiem, to by się przed nim schował pod ziemię! Patrz każdy swego, nie kożucha cudzego!

Róża (drżąca, oblana zimnym potem). Jezu, Maryjo Józefie święty! Nie! Nie!

Streckmann. A dyć powiedz sama, czy ja nie mam słuszności? Wyście pobożność łyżkami jedli: August Keil, twój ojciec i ty!? Juścić w bigoteryi to kroku wam nie dotrzymam.

Róża (znowu zrozpaczona). To kłamstwo! Tyś nic nie widział...!

Streckmann. Co?— Nic nie widziałem? Tam do kata! Możem śnił! — Jeżeli to nie był Flamm z sołtystwa w Düssdorfie. — Nie piłem dzisiaj ani kropelki! A co?! Nie pociągnął cię za warkocze? Nie cisnął cię o wierzbę?— (Z nieposkromionym śmiechem). Musiał cię porządnie wytarmosić.—

Róża. Streckmann! Łeb ci rozbiję.

Streckmann (wciąż jeszcze ze śmiechem). No, słuchaj! Cóż znowu! Chyba dasz sobie spokój?! Ja ci tego za złe nie mam. Pierwszy ten miele, kto pierwszy zjawił się we młynie: inaczej tu być nie może. Ino żebym to był wiedział, to bym był nie patrzał.

Róża (omdlała, płacze i łka, kurczowym wysiłkiem chcąc panować nad sobą). I taki łotr ma śmiałość tak mówić!

Streckmann (brutalnie, wściekły). Tyś miała tę śmiałość!! Ja jeszcze śmiałości nie miałem—a radbym mieć tę śmiałość: tam gdzie Flamm sięgnie, tam i ja dotrę!

Róża (bez opamiętania, krzycząc i płacząc zarazem). Byłam porządną całe życie! Niech ino mnie tu kto co powie! Pracowałam na troje drobnego rodzeń-

stwa! Wstawałam rano o trzeciej! Odmawiałam sobie kropelki mleka! Wiedzą o tem ludzie! Wie o tem każde dziecko...

Streckmann. Przez to nie potrzebujesz robić takiego hałasu! Ludzie wracają z kościoła! Już dzwonią! Mogłabyś się grzecznie obchodzić z człowiekiem! O mało nie pękniecie z tej pychy! — Być może... ja temu wierzę! — Ja ci tego zaprzeczać nie myślę, że umiesz porządnie harować i skąpić. Ale zresztą — nie jesteście już tacy, jak my, reszta ludzi.

Róża (w największym strachu spoglądając w dal). Czy to nie August tam idzie?

Streckmann (spogląda w tym samym kierunku ku wsi; z lekceważeniem). Gdzie? — A jakże! — To oni obaj! — Wleką się właśnie proboszczowskiemi zapłociami. — No i cóż z tego? — Czy może myślisz, że mam sobie pójść? — O, ja się takich odpustowych ogierów nie boję!

Róża (z wzrastającym przestrachem). Streckmann, uszparowałam sobie dwanaście talarów....

Streckmann. Róziuniu! Uszparowałaś sobie daleko więcej!

Róża. I owszem! Oddam ci całą swoją biedę! Rzucę ci to całe dziadostwo!... Przyniosę ci co do ostatniego grosza, — Streckmann, tylko miej litość... (Stara go się pochwycić za ręce, które on cofa).

Streckmann. Ja pieniędzy nie biorę!

Róża. Streckmann!! Na wszystko w świecie! — Nie nie...

Streckmann. Chciałbym też ino widzieć, czy przyjdziesz do rozumu.

Róża. Niechby się o tem we wsi kto dowiedział...

Streckmann. To już twoja rzecz! O tem nikt wiedzieć nie potrzebuje. Jak ty się o to nie postarasz, to nikt o tem nie usłyszy. — (Innym głosem namiętnie). No i cóż będzie? Jestem poprostu w tobie zakochany!...

Róża. W jakiej ty kobiecie się nie kochasz!

Streckmann. Tego ja już nie zmienię. Gdzie ino człowiek zjawi się z młockarnią, po wszystkich folwarkach, to się o plotki troszczyć nie potrzebuje. Ja wiem najlepiej, jaka zemną sprawa, jeszcze przed Flammem — o Auguście nie mówię! — rzuciłem oko na ciebie! Ile przez to wycierpiałem, tego nikt nie wie. (Z żelaznym uporem). Ale niech mnie dyabli wezmą, niech się dzieje, co chce! Żartować ze mną już nie można! — Tak mi to już wlazło w drogę! —

Róża. Co takiego?

Streckmann. Zaraz to zobaczysz.

(Miedzą nadbiega Martusia, młodsza siostra Róży, ubrana czysto, i świątecznie. Wygląda jeszcze na dziecko).

Martusia (woła). Róziu, czy to ty? — Co ty tu robisz? —

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Róża. Muszę jeszcze skończyć ten kawałek pola. Czemuście go w sobotę nie skończyły? —

Martusia. Daj spokój, Róziu! Bo jak ojciec przyjdzie...'

Streckmann. Niech się i zjawi, głowy ci przez to nie urwie, znamy się przecie na starym Berndzie.

Martusia. Któż to jest, Róziu?

Róża. O, nie pytaj się!

(Polną drogą, od strony kościoła, zjawia się stary Bernd — razem z Augustem Keilem. Obaj, zarówno białowłosy starzec jak i młodszy około 35 lat liczący mężczyzna, mają na sobie czarne, odświętne ubranie i książki do nabożeństwa w ręku. Stary Bernd siwą ma brodę. Głos jego miękki, podobny do głosu człowieka, który kiedyś przeszedł ciężkie cierpienie płucne. Wygląda mniej więcej na wysłużonego, poważnego, dworskiego woźnicę. August Keil, który jest introligatorem, ma bladą twarz, cienki, ciemny wąs i brodę ostro ściętą, przerzedziałe włosy i od czasu do czasu nerwowe ruchy. Jest chudy, o wąskiej piersi, i z całej postawy wygląda na człowieka, zmuszonego wysiadywać w izbie).

Bernd. Czy to nie Rózia?

August. Tak, ojcze Bernd.

Bernd. Nie można tego dziewusze wytłumaczyć: jak ją napadnie, tak musi harować, wszystko jedno, czy dzień powszedni, czy święto.— (Tuż przy niej). Czy to nie masz dosyć czasu w tygodniu?!

August. Przesadzasz! Różo! To już niepotrzebne!

Bernd. Gdyby to widział nasz poczciwy pa-

stor, to juścić by się w duszy nie mało zasmucił. Nie dowierzałby swoim własnym oczom.

August. Rozpytywał się znowu o ciebie.

Streckmann (z przytykiem). Opowiadają, że chce ją wziąść za gospodynię!

Bernd (spostrzega go dopiero teraz). A toć to Streckmann!

Streckmann. A jakże, w całej swojej posturze! Dziewucha pracuje, nie uważa ani na osy, ani pszczoły! Choćby się żebra łamały w jej ciele, na spanie w kościele czasu nie ma.

Bernd. No, mnie się zdaje, że my obaj tam nie śpiemy. Myślę raczej, że inni tutaj śpią, którzy nie chcą, ażeby ich zbudzono. Oblubieniec się zbliża...

Streckmann. Trafiliście kulą w płot! Ino że oblubienica tymczasem ucieka w groch.

August. Widzę, że ci się chce żartować.

Streckmann. I tyś trafił w sedno: tak mi jest wesoło, że mógłbym iść w tany z drążkiem od kościelnego worka! Skakałbym, jak wół, wypuszczony z obory! Śmiałbym się, ażby mi płuca gardłem wylazły!

Bernd (do Róży). Zbieraj się, pójdziemy razem do domu! — A więc nie! A więc nie pójdę z tobą!? — Łopatę schowaj do dziupli, — tam, do tej wiśni! Nie dawaj nią zgorszenia.

August. Inni wałęsają się nawet ze strzelbą.

Streckmann. A inne chudopachołki mają nawet wódkę ze sobą. (Wyciąga butelkę).

August. Każdy robi na swoją odpowiedzialność.

Streckmann. Racya — i do tego na własny koszt. Chodź — rozgrzesz się i napij sie ze mną. (Podaje butelkę Augustowi, który jednak na niego nie zważa).

Bernd. Wiesz przecie, że August nigdy wódki nie pije! — Gdzie stoi teraz młockarnia?

Streckmann. Ale, wy, ojcze Bernd, wy mi chyba nie odmówicie, bo i na co byliście gorzelnikiem? — Maszyna jest teraz tam, na folwarku.

Bernd (bierze butelkę z wahaniem). Dla was to robię, Streckmann, inaczej bym się ani tknął! — Kiedym jeszcze był na folwarku włodarzem, to trzeba było robić wszystko. Ale chętnie tom ci gorzałki nie pędził. A już co do picia, tom wtedy właśnie nie zażywał.

Streckmann (do Augusta, który chowa łopatę do dziupli). Cóż tak ciągle spoglądasz na tę wiśnię! Pif—paf—puf! Potrzebujesz tylko naciągnąć kurek i spuścić.

Bernd. Są ludzie, którzy w niedzielę chodzą na polowanie.

Streckmann. Sołtys Flamm.

Bernd. A jakże. My go spotkali! Źle się dzieje na świecie! Żal się robi ludzi!

Streckmann (obrzuca Różę chrabąszczami).

Róża (drżąc). Streckmann!!!

Bernd. Cóż to znowu?

August. Cóż to ma znaczyć?!

Streckmann. Nic. Czeka na nas kurka, którą mamy podskubać.

August. Skub ty sobie kurę, z kim chcesz, a jeżeli o mnie idzie, to możesz ją sobie zjeść sam.

Streckmann (chytrze i nieprzyjaźnie). Strzeż się, August, mówię ci, strzeż się!

Bernd. Dajcie spokój! Zgódźcie się! W imię Boże.

Streckmann. Ta ropucha tak się wydyma, że mało nie pęknie.

August. Ropuchą jest ten, co leży w rowie.

Streckmann. Wiesz August, nie kłóćmy się. Ojciec ma racyę, żyć trzeba zgodnie, trzeba się kochać, bo to, jak widzisz, i według twojej wiary, nie po chrześciańsku. Chodź! napij się zemną! Pijmy! Juścić piękny nie jesteś, tego ci i największa zawiść zarzucić nie może, ale na czytaniu i pisaniu znasz się i dbać o siebie umiesz! — Ano, macie niebawem wyprawić weselisko.

Bernd (bierze butelkę i pije, widząc, że August do niej zabrać się nie chce).

Streckmann. Ja sobie to zakarbuję, ojcze Bernd!

Bernd. Jak idzie o weselisko, to juścić trzeba zrobić wyjątek!

Streckmann. A naturalnie! Tak się należy! Tak być powinno! — O, dziś już inne czasy, niż wtedy, kiedym jeszcze był forysiem, a wyście mnie miewali pod swoim batogiem. Dziś mnie już nikt nie zdespektuje. Kto ma głowę na karku, ten się już przez życie przepcha.

Bernd. A juścić, jeżeli mu pan Bóg nie odmówi swojego błogosławieństwa! — (Do Augusta). Pijże! — na to weselisko!

August (bierze butelkę). Weselisko niech nam da Pan Bóg, na to pić nie potrzeba!

Streckmann ((bijąc się rękami po udach). No i... małe Auguściątko będzie także łaziło!.. Co by dziadek miał też swoją pociechę, a najstarszy z nich zostanie sołtysem! — A teraz, niech i Rózienka napije się z nami!

Bernd. A dyć ty beczysz, Róziu, cóż ci się stało?

Martusia. Ciągiem jej łzy kapią z oczu.

August (do Róży). Napij się — jeden łyczek, niech ma swoją wolę.

Róża (bierze butelkę z największym wstrętem).

Streckmann. Ano hop! Wesoło! Lej do gardła.

Róża (pije drżącą ręką i z nietajonym wstrętem zwraca butelkę Augustowi).

Bernd (po cichu z dumą ojcowską do Streckmanna). To mi jest dziewucha! Warto mu ją będzie przyhołubić.

AKT II.

Wielka świetlica w domu właściciela sołtystwa, Flamma. Wielka, nizka parterowa ta izba ma po prawej stronie drzwi, prowadzące do sieni. Drugie drzwi, w ścianie tylnej, łączy wielki pokój z mniejszym, który pan Flamm lubi nazywać swoją izbą myśliwską. Znajdują się w niej przyrządy do wyrabiania patronów. Na ścianie wiszą ubrania i broń. Przy otwarciu drzwi widać wypchane ptaki i szafę, przeznaczoną na akta urzędu cywilnego. Wielka izba, z trzema oknami po lewej stronie, z ciemnym, brunatnym sufitem z belek i resztą urządzenia, wywiera przyjemne wrażenie. Po lewej stronie w rogu, stoi wielka sofa, obita staroświecką materyą w kwiaty. Przed nią dębowy, na ciemno bajcowany stół do wysuwania. Nad sofą, na ścianie, znajdują się, gęsto obok siebie, rogi jelenie i sarnie. Nad drzwiami, prowadzącemi do izby myśliwskiej, wisi szklanna szafka z wypchanemi kuropatwami. Dalej na prawo, w pobliżu drzwi, wieszadło na klucze. W pobliżu tego szafa szklanna, napełniona książkami. Na szafie tej stoi wypchana sowa, obok szafy wisi na ścianie zegar z kukułką. Wielki, w niebieskawe kropki pomalowany piec kaflowy, zajmuje prawy róg izby. Przed trzema oknami w ścianie lewej stoją kosze z kwiatami. Okno w pobliżu stołu jest otwarte wraz z drugiem, znajdującem się bardziej ku przodowi. Przed tem oknem w krześle na kółkach siedzi pani Flamm. W okienkach muszlinowe firanki. W pobliżu okna, znajdującego się na przodzie, stoi stara, wyginana komoda z ko-

ronkową serwetą, na niej szkło i rozmaite pamiątki rodzinne, figurki i inne drobnostki. Na ścianie ponad nią fotografie rodzinne. Pomiędzy piecem a wejściem do sieni stary fortepian, zwrócony klawiaturą do pieca. Przed nim haftowane krzesło. Nad klawikordem kilka pudełek z motylami. Na przodzie, po prawej, jasno politurowane biurko na kółkach. Przed niem zwykły zydel. Przy biurku, pod ścianą, kilka podobnych krzeseł. Pomiędzy oknami stary, bronzową skórą obity fotel. Ponad stołem zwiesza się wielka angielska lampa o szerokiem, mosiężnem obrzeżu. Ponad biurkiem wisi na ścianie w prostych ramkach drewnianych wielka fotografia pięcioletniego, ładnego chłopczyka. Obrazek ten otacza wianek z świeżych kwiatów polnych. Pod nim wielki, szklanny wazon z niezapominajkami, powtykanemi w wilgotny piasek. Wspaniały dzień późnej wiosny, około godziny jedenastej zrana. Pani Flamm wygląda na przyjemną matronę lat czterdziestu. Ma na sobie czarną gładką suknię alpakową z bluzką, skrojoną ze staroświecka, biały koronkowy czepeczek na głowie, koronkowy kołnierzyk na szyi, a wychudłe, delikatne jej ręce przykrywają do połowy koronkowe manszety. Na kolanach ma książkę i cienką batystową chusteczkę. Twarz pani Flamm ma wielkie, imponujące rozmiary. Oczy jasnoniebieskie, przenikliwe, czoło wysokie, skronie szerokie. Włosy jej są już posiwiałe i rzadkie, starannie uczesane. Od czasu do czasu odsuwa je lekko końcami palców. Twarz jej ma wyraz dobroduszny, widać w niej powagę bez surowości. Naokoło oczu, nosa i ust odcień humoru i sprytu.

Pani Flamm (spogląda w zamyśleniu ku oknu, wzdycha, zatapia się w książce, potem nadsłuchuje, zamyka książkę, włożywszy zakładkę między stronice, zwraca się ku drzwiom i mówi wzmagającym się, sympatycznym głosem). Kto na dworze... niech wejdzie! (Słychać pukanie, uchylają się drzwi od sieni, a w nich zjawia się głowa starego Bernda).

No, któż tam? — to zapewne ojciec Bernd, nasz radca sierociński i przełożony kościoła. No, dalej, wejdźcie, przecież ja was nie zjem, ojcze Bernd.

Bernd. Chcielibyśmy pogadać z panem lejtnantem.

(Wchodzi do izby, za nim August Keil. Obaj znowu w odświętnem ubraniu).

Pani Flamm. No, no, coś mi to wygląda bardzo uroczyście.

Bernd. Dzień dobry, pani lejtnantowa!

Pani Flamm. Dzień dobry, ojcze Bernd! — Mąż był przed chwilą tam, w izbie myśliwskiej. (Wskazując na Augusta). A jest i pan zięć?

Bernd. A jakże, z Bożą pomocą, pani Flamm.

Pani Flamm. Siadajcież sobie! Chcecie zapewne powiadomić nas o tem? A więc nareszcie sprawa ruszyła się z miejsca.

Bernd. Tak jest, dzięki Bogu doszło już do tego.

Pani Flamm. To mię cieszy! Czekanie przecie nie prowadzi do niczego! Jeżeli już raz stać się musi, to krótki proces, nie zwlekać! — A więc nareszcie się zgodziła?

Bernd. A jakże! I mnie też naprawdę spadł już kamień z serca. Namyślała się dosyć długo. Teraz nagli sama do tego, z własnej woli. Wesele niech będzie lepiej dzisiaj, niż ma być jutro.

Pani Flamm. A to mię cieszy, panie Keil!

Cieszy mię to, Bernd! — Krzysztofie! — mąż mój zaraz chyba przyjdzie! — A więc nareszcie wszystko już na dobrej drodze. — Tak, tak, ojcze Bernd, możecie mówić o szczęściu! Chyba teraz jesteście bardzo szczęśliwi.

Bernd. A juści! Pani ma słuszność, pani Flamm! — Przedwczoraj rozmówiliśmy się o tem wszyscy razem. A i Pan Bóg nie poskąpił nam błogosławieństwa. August udał się potem do panienki z Gnadau i ta mu pożyczyła trzy tysiące marek. Za te pieniądze można kupić ten dom od Lachmanna.

Pani Flamm. Ach naprawdę!? Czyż być może! A no widzicie, ojcze Bernd: kiedy was tak ze dworu puszczono bez kawałka chleba, toście już całkiem stracili nadzieję. — Bo też to naprawdę była podłość! — A teraz Pan Bóg obrócił wszystko na dobre.

Bernd. A juści, człowiek zawsze jest małej wiary.

Pani Flamm. A no toście dobrze na tem wyszli! Po pierwsze dom ten stoi tuż przy kościele, a przytem należy do niego i kawałek ziemi. A Róża... no myślę sobie!... zna się na gospodarstwie. Tak, tak, możecie być bardzo zadowoleni.

Bernd. Ileż to taka dama może zrobić dobrego! Po Panu Bogu... komuż mamy najwięcej do zawdzięczenia? — Gdybym był w służbie u pa-

nienki z Gnadau i gdybym się był dla niej tak naharował, jak dla naszego dworu, to juścićbym się tak skarżyć nie potrzebował.

Pani Flamm. Teraz nie macie się już co skarżyć, Bernd.

Bernd. A juści, że nie! Pod jednym względem nie.

Pani Flamm. Na wdzięczność w życiu liczyć nie można. Ojciec mój był czterdzieści lat nadleśniczym, a matka musiała potem żyć w niedostatku. — Macie teraz tęgiego zięcia. Możecie sobie mieszkać w ładnym domku i będziecie mieli nawet swoje zajęcie w polu. Ażeby wszystko szło porządnie naprzód, zamiast się cofać, niech dbają o to teraz wasze dzieci.

Bernd. Można się tego spodziewać — napewno! — Widzi pani, ja o tem bynajmniej nie wątpię, kto się tak napracował, z początku kolportowaniem pism...

Pani Flamm (do Augusta). A czyście nie chcieli też zostać misyonarzem?

August. Szkoda, za słabe miałem zdrowie do tego.

Bernd. Nauczyć się czytać, pisać i rzemiosła i do tego żyć po chrześcijańsku i zawsze być uczciwym, no — juścić ja spokojnie mogę skłonić głowę, choćby i do ostatniego snu.

Pani Flamm. A czy wy wiecie, ojcze Bernd, na

pewno, że mój mąż zajmować się jeszcze będzie wydawaniem aktów swojego urzędu? Waszej Róży chyba on już ślubu nie da.

Bernd. Są przy rzepiku.

Pani Flamm. Ja wiem, wiem! Róża pomaga, była dzisiaj już rano u mnie. Gdybyście chcieli pójść sami!... tam zaraz za podwórzem... Krzysztof! Są tutaj...

Flamm (woła z po za sceny). Zaraz przyjdę! Natychmiast!

Pani Flamm. Sprawy urzędowe.

Flamm (bez surduta i kamizelki zjawia się w drzwiach izby myśliwskiej. Biała, lśniąca koszula rozpięta. Zajęty jest czyszczeniem dwururki). Tak jest. Maszynista Streckmann był właśnie tutaj. Najchętniej tobym zaraz kazał wymłócić. Maszyna stoi na folwarku. Ale trzeba będzie na nią jeszcze długo czekać... O mój Boże, jest i ojciec Bernd tutaj!

Bernd. A jakże, przyszliśmy panie Flamm... Chcieliśmy...

Flamm. Jedno po drugiem! Cierpliwości! (badając lufy). Jeżeli macie sprawy urzędowe, ojcze Bernd, moglibyście chwilę zaczekać. Zastępcą moim będzie kasyer Steckel, on się tem zajmować będzie daleko uroczyściej.

Pani Flamm (która z szydełkiem od robótek przy brodzie przysłuchiwała się, badawczym wzrokiem patrząc na męża). Nie, Krzysiu! cóż ty gadasz?!

August (blady od początku, na wspomnienie Streckmanna zbladł jeszcze bardziej, podnosi się uroczyście i mówi wzruszony). Panie lejtnancie, chciałem zameldować ślub — za pomocą Bożą jestem gotów wejść w święty stan małżeński.

Flamm (odejmując lufę od oka). To chyba niemożliwe! Co cię tak nagli?

Pani Flamm (z humorem). Co cię to obchodzi, Krzysiu?! No, patrzcie go! Pozwólże się tym ludziom spokojnie pobrać! No, wiesz, dobry z ciebie kaznodzieja! Gdyby od niego zależało, ojcze Bernd, nie byłoby na świecie nikogo, a tylko same kawalery i pannice.

Flamm. Bo małżeństwo jest niczem więcej, jak tylko sidłami na dudków! To pan przecie jesteś introligator, August Keil?

August. Do usług.

Flamm. Mieszkasz pan tam, w Wandriss, nieprawda? I kupiłeś pan dom Lachmanna?

August. Do usług.

Flamm. Chcesz pan założyć sklep z książkami?

August. Z książkami i z papierem. Tak. Być może.

Bernd. A głównie ma na myśli książki nabożne.

Flamm. Przy domie Lachmanna jest i kawał gruntu. Leży tam, przy wielkiej gruszy?

Bernd i **August** (równocześnie). Tak.

Flamm. W takim razie graniczymy ze sobą. (Odkłada strzelbę i szuka w kieszeni pęku kluczy, potem woła po za sceną). Minna! Wysuń jeno panią porucznikową! (Z pewnym niepokojem, ale rezygnacyą siada przy biurku).

Pani Flamm. Bardzo grzeczny człowiek! Ale ma słuszność! ja jestem tu zbyteczna. (Do fertycznej dziewczyny, która weszła do pokoju i stanęła poza jej krzesłem). Wsuń mnie, dziewczyno do izby myśliwskiej. Mogłabyś się też lepiej uczesać.

(Pani Flamm i dziewczyna znikają w izbie myśliwskiej.

Flamm. Żal mi tych ludzi od Lachmanna! — (do Keila). Mieliście oszczędności na tym gruncie? (Keil pokaszluje, wzruszony i zakłopotany). Ale zresztą to wszystko jedno! Tego gruntu można sobie pogratulować. A zatem pan chcesz?... A gdzież jest narzeczona? — Jakto? — Narzeczona może się opiera?

August (bardzo wzburzony i stanowczo). Jesteśmy w zgodzie, o ile wiem.

Bernd. Pójdę i przyprowadzę ją, panie Flamm. (Pospiesznym odchodzi krokiem).

Flamm (otworzył biurko, widocznie roztargniony, zapóźno spostrzegłszy zniknięcie Bernda). Głupstwo, nie ma co się spieszyć. (Spogląda, skonsternowany, ku drzwiom, po za któremi zniknął Bernd, potem wzrusza ramionami). Róbcie, co chcecie, czyńcie, jak wam każe powinność! — Ale muszę sobie zapalić fajkę. — (Wstaje, bierze z półki woreczek z tytoniem, zdejmuje ze ściany krótką fajeczkę, napycha ją i zapala. Do Augusta). Pan pali?

August. Nie.

Flamm. I nie zażywa pan także?

August. Nie.

Flamm. Nie pijesz pan, ani piwa, ani wódki, ani wina?

August. Nie, oprócz wina przy Komunii.

Flamm. Żelazne zasady! — Wzorowy człowiek! — Proszę! — Ktoś pukał? — czy nie? A to te przeklęte jamniki! — Pan czasem zajmujesz się znachorstwem, tak dla rozrywki?

August (przeczy ruchem głowy).

Flamm. Myślałem, że pan może leczysz modłami? Zdaje mi się, że coś o tem słyszałem.

August. To było pewnie co innego, aniżeli jakieś znachorstwo.

Flamm. Jakto?

August. Wiara rozsadza opoki, a o co człowiek z szczerej duszy... Ojciec nasz dotychczas jest wszechmocny.

Flamm. Proszę!? — Ktoś przecie znowu pukał. — Proszę, proszę, proszę wejść! Do stu dyabłów... (Stary Bernd sam blady, wpycha bladą i opierającą się Różę do pokoju. Oboje z Flammem patrzą sobie długo w oczy, potem mówi Flamm dalej). Dobrze! Proszę poczekać chwilę!

(Udaje się do izby myśliwskiej, jak gdyby chciał coś ztamtąd zabrać. Następująca rozmowa pomiędzy Berndem, Różą i Augustem odbywa się w pospiesznem tempie i szeptem).

Bernd. Co ci powiedział Streckmann?

Róża. Kto taki? Nie — ależ ojcze!

Bernd. Przecie tam był Streckmann i wciąż ci coś gadał.

Róża. Nie! Cóż on mi miał gadać?

Bernd. To ja ci się pytam!

Róża. No — a ja nie wiem.

August. Nie powinnaś się zadawać z takim szubrawcem.

Róża. Czy ja temu winna, że ktoś ze mną gada?

Bernd. A widzisz, że gadał z tobą!

Róża. A choćby i gadał, ja tego nie słuchałam...

Bernd. Tego Streckmana to będę musiał podać do sądu. Będę go musiał jeszcze zaskarżyć. Kiedyśmy przechodzili tamtędy, gdzie robią tą młockarnią — o słuchaj znowu zaczynają! (Słychać daleki szum i huk maszyny) to krzyczał coś za naszemi plecami. Ale co, tegom dokładnie nie słyszał.

August. Niech jaka dziewczyna pomówi z nim dwa słowa, a koniec z jej dobrą sławą.

Róża. Wolno ci poszukać lepszej.

Flamm (wchodzi znowu, z kołnierzykiem na szyi i w kurtce myśliwskiej — zachowanie jego stanowcze i pewne siebie). Dzień dobry wam wszystkim! Czem wam mogę służyć? Kiedyż więc ma być ten ślub? — Cóż się stało? — Czyście się może jeszcze nie zgodzili? — No, niechżeż kto będzie łaskaw powie-

dzieć słóweczko? No ludzie! — widać, że wam jeszcze daleko do tego! Dam wam radę: idźcie do domu. Prześpijcie się! A jak postanowicie już coś stanowczego, wtedy wróćcie.

August (kategorycznie). Sprawę załatwi się teraz.

Flamm. Ja z pewnością nie mam nic przeciwko temu, Keil! (Zabiera się do robienia ołówkiem notatek). A zatem: kiedyż ma się to odbyć?

Bernd. Myślimy sobie, żeby jak najprędzej — jak się tylko da.

August. Za cztery, pięć tygodni, Tak jest, jeżeli tak się da zrobić.

Flamm. Co? Już za cztery, pięć tygodni?

August. Tak, panie Flamm.

Flamm. W takim razie proszę o dokładny termin. To się tak na krótkiem toporzysku zrobić nie da, a...

Róża (z uczuciem przykrości, mimowoli). Możnaby jeszcze trochę z tem poczekać!

Flamm. Co mówisz? Co panna mówi, chciałem powiedzieć. Znamy się przecież od dzieciństwa. Ale jeżeli się ma narzeczoną przed sobą, to już się nie mówi do niej przez ty. A więc proszę: ona, zdaje się, nie godzi się na to.

August (który, zadrżawszy przy słowach Róży, patrzał na nią od tej chwili osłupiałym wzrokiem. Teraz opanowuje go wzruszenie i mówi z pełnym grozy spokojem). Ano dobrze! — Bądźcie zdrowi, ojcze Bernd.

Bernd. Mówię ci, August, zostań tutaj! (do Róży). A ty! Tobie powiem jedno! Albo, albo! Rozumiesz mnie? Byłem dosyć długo cierpliwy z tobą! A i August więcej, niż potrzeba. Znosiliśmy twoje humory. Zawsześmy sobie myśleli: cierpliwości! cierpliwości! Już ją tam Pan Bóg doprowadzi do rozsądku. Ale dzieje się coraz to gorzej. Przed trzema dniami ślubowałaś mi na rękę, a i Augustowi rękę dałaś na to, a sama nie mogłaś się tej dzisiejszej chwili doczekać. A teraz nie chcesz o niczem wiedzieć! Co to ma znaczyć? Co ty sobie właściwie myślisz? Czy myślisz, że możesz sobie robić, co żywnie zechcesz, dlatego, że jesteś młoda dziewczyna — jak się patrzy? Żeś uważała na siebie i że jesteś pracowita i że cię żaden człowiek szkalować nie może? Nie jesteś taką jedyną na świecie! To się rozumie! W to dufać tak bardzo nie można! Są jeszcze i inne dziewczyny, które na tańce nie chodzą! I inne wychowywały także małe rodzeństwo i prowadziły ojcu gospodarstwo! Nie wszystkie jeszcze muszą być tłuki i ścierki, dlatego, że ty jesteś porządna dziewczyna! A cóżby się działo, gdyby było inaczej? Leżałabyś już dawno na ulicy. On, widzisz, August, wcale ciebie nie potrzebuje. Taki człowiek potrzebuje tylko wyciągnąć palec... a będzie miał kupę dziewczyn, dziewczyn z najlepszych familij. Może jeszcze całkiem inne od ciebie! Doprawdy! A toć się i naj-

większa cierpliwość skończyć musi. Sierdzisz się! nadymasz się! pysznisz się!... Albo teraz dotrzymasz przyrzeczenia, albo...

Flamm. No, no, ojcze Bernd! Trzeba być trochę łagodniejszym!

Bernd. Panie lejtnancie! Pan się na tem nie zna! Jak taka dziewczyna chce wodzić za nos człowieka honoru, to nie może być moją córką...

August (niemal bliski płaczu). Co masz mi do zarzucenia, Różo? Czemu jesteś teraz taka niedobra dla mnie? Nie miałem, co prawda, nigdy ufności w moje szczęście, bo i dlaczego? Jestem poprostu przeznaczony na nieszczęście, zawsze wam to mówiłem, ojcze Bernd! — A jednak, zabiegałem, pracowałem, no i poniekąd nie poskąpił mi Pan Bóg błogosławieństwa, żem nie zmarniał. Człowiek płacze! Tak to już jest na świecie! Inaczej być nie może! Może byłoby to dla mnie i za wiele! Wychowałem się w domu sierot! Nie miałem nigdy domu! Ani siostry, ani brata!... Tak, trzeba się trzymać Zbawiciela... Może być, że nie jestem najprzystojniejszy!... Pytałem się ciebie, a tyś powiedziała „tak!“ O wnętrze idzie, nie o co innego! Bóg patrzy na serce!... Będziesz ty jeszcze gorzko żałować tego!

(Zabiera się ku wyjściu. Bernd go zatrzymuje).

Bernd. Jeszcze raz, August: Zostać! — Słyszysz, Różo, słowo za słowo! Ten człowiek, widzisz...

albo... nie, tego nie przypuszczam... Ten człowiek tutaj był moją podporą jeszcze przedtem, zanim się podał o twoją rękę. Kiedym był chory i kiedy nie mogłem zarabiać i kiedy nikt o mnie się nie troszczył — on dzielił swoją kromkę chleba z nami.

(August nie może już nad sobą zapanować, bierze kapelusz i wychodzi).

Bernd. On był dla nas niby ten anioł z nieba. August!

Róża. Ja przecie chcę! Możecie mi zostawić trochę czasu!

Bernd. Zostawiał ci go dosyć — całe trzy lata! — Tłómaczył ci to i ksiądz pastor... No, ale teraz ma już dosyć tego! Któż go może o to winować! Wszystko ma swoje granice! On ma słuszność! Ale teraz uważaj, dokąd z tem zajdziesz... namyśl się, do czego zmierzasz, czego chcesz... Ja z tobą termedyi robić już nie będę.

(Bernd odchodzi).

Flamm. No! no! no! no! Do krocset piorunów!...

(Róża to bladła, to się czerwieniła. Widać na niej głębokie wewnętrzne wzruszenia, które czasami są tak silne, jak gdyby lada chwila miały wybuchnąć. Gdy i Bernd się oddalił, dziewczyna wygląda w swojej bladości, jak zmartwiała.

Flamm (zamknąwszy akta i zdobywszy się na odwagę spojrzenia na Różę). Różo! zbudź się! — Cóż się z tobą

dzieje?... Przecież sobie z tej gadaniny nic robić nie będziesz?!

(Róża dostaje zimnych dreszczów; oczy jej nabiegają łzami).

Flamm. Różo!... Bądźże rozsądną!... Cóż to ma znaczyć!?

Róża. Wiem — czego chcę — i przeprowadzę to!... A choć i nic z tego nie będzie — to nie szkodzi!...

Flamm (przechadza się, wzburzony, podsłuchuje pod drzwiami). Naturalnie! Dlaczegóżby nie!? (Pozornie, jakgdyby zainteresowany był tylko wieszadłem, z którego zdejmuje klucze, szepcze z wzmagającą się gorączkowością). Róża! — Ty! — Róża! — Róża! czy nie słyszysz? — Musimy się spotkać za folwarkiem!... Muszę z tobą o wszystkiem jeszcze pomówić... Pst!... Żona jest tam, w izdebce myśliwskiej. Tutaj nie można.

Róża (słowa z żelazną wydobywając energią). Nigdy, przenigdy, panie Flamm!

Flamm. Może chcesz, ażebyśmy wszyscy przez ciebie poszaleli!? Z dyabłem masz spółkę, czy co?... Gonię za tobą już ze cztery tygodnie i chcę rozsądne przemówić słówko, a ty się zachowujesz wobec mnie, jakgdybym był trędowaty — — i to jest skutek tego... I potem dzieją się takie historye...

Róża (jak wyżej). I choćby jeszcze było dziesięć razy gorzej! Bijcie we mnie, bijcie! Zasłużyłam na to! Wycierajcie o mnie buty — i owszem, ale...

Flamm (stoi przy stole; nagle zwraca się oburzony i osłupiały ku Róży. Hamuje się. Naraz uderza mimowoli pięścią w stół tak, że wszystko naokół aż zahuczało). Do krocset piorunów!

Róża. Na miłość Boga!...

(Panią Flamm wsuwa dziewczyna do pokoju).

Pani Flamm. Co się tu dzieje, Flamm?

(Flamm pobladły i posiniały, opanowuje się, zdejmuje laskę i kapelusz ze ściany i wychodzi po prawej).

Pani Flamm (z początku spogląda za mężem zdumiona, potrząsa głową, a zwraca się pytająco do Róży). Co się stało? — Cóż mu jest takiego?

Róża (głębokiem złamana wzruszeniem). Ach! droga pani lejtnantowa! Okropnie jestem nieszczęśliwa!

(Pada przed panią Flamm na kolana i twarz chowa na jej łonie).

Pani Flamm. No, mówże... no, na miły Bóg! Cóż to takiego wlazło w ciebie, dziewczyno?... Co się stało?... Jesteś do cna zmieniona... Nie rozumiem tego — ani krzty!... (do pokojówki, która ją wsunęła do pokoju). Nie potrzebnaś mi teraz!... Przyjdziesz później. Zrób tymczasem porządek w kuchni. (Pokojówka odchodzi). Co się tobie stało?... Czy cię co boli... No, gadajże!... Ulżyj sobie! Co? — Jak? — Co mówisz? — Coś powiedziała?... Nie chcesz wyjść za tego klajsternika Augusta?... A bo może kto inny ci w głowie?... I! co tam! Jeden taki jak drugi, a żeby był który coś warcien, to żaden.

Róża (nareszcie się mitygując i podnosząc się z podłogi). Wiem, co chcę, i na tem koniec.

Pani Flamm. Co?!... Widzisz ją! myślałam, że tego nie wiesz... Kobiety czasem to i nie wiedzą? Co? Zwłaszcza w twoich latach! Czasami przydałaby wam się pomoc starszej. Ale jeżeli wiesz, no, to wszystko dobrze! W takim razie dasz sobie radę sama. (Patrzy na nią ostro, założywszy okulary). Różo! czyś ty może chora?

Róża (przerażona i zmieszana). Chora? — Co to znaczy?...

Pani Flamm. Ot, chora, jak to bywa... Dawniej byłaś przecie trochę inna.

Róża. Ja przecie nie jestem chora?!...

Pani Flamm. Ja tego też nie mówię. Ja tylko się pytam! — Powinneśmy się przecie zrozumieć tak, widzisz — to prawda! Nie będziemy przecież naokoło siebie tańczyły. — Toć chyba nie myślisz, że ci źle życzę.

(Róża energicznie przeczy ruchem głowy).

Pani Flamm. Tegoby jeszcze brakowało! No, koniec! Bawiłaś się jeszcze z moim Kurtusiem! Rośliście razem, aż mi go Pan Bóg zabrał, to moje dziecko jedyne... Około tego czasu umarła też i twoja matka — pamiętam ją na łożu śmierci!... Nawet mówiła wtedy jeszcze do mnie, żebym się niby trochę zajęła tobą.

Róża (patrzy przed siebie osłupiałym wzrokiem). Naj-

lepiej byłoby dla mnie do wody! — Jeżeli tak jest... Boże, przebacz mi grzech mój!

Pani Flamm. Więc to tak jest?... Co?... Ja cię nie rozumiem! — Mogłabyś się wyrażać trochę dokumentniej... Po pierwsze jestem mężatka — mnie to nie urazi! A potem — i ja przecie byłam matką, chociaż dzisiaj jestem bez dzieci... Kto wie, dziewczyno, co z tobą jest! Obserwowałam cię przez kilka tygodni, tyś może tego ani nie zauważyła, no, dalej, wyrusz teraz z całą prawdą. Posuń mnie ku komodzie... (Róża posuwa ją). ...Tak!... Tutaj w szufladach znajdują się stare rzeczy!... Jeszcze sukienki Kurtusia... Matka twoja powiedziała jednego razu do mnie: moja Róża to dopiero będzie matka dzieciom!... Ale zresztą to krew ma trochę za gorącą! Ja nie wiem — może być, że miała słuszność. (Wyciąga z jednej z szuflad wielką lalkę). Ano widzisz! Niech się dzieje, co chce! Macierzyństwo juści nie jest do pogardzenia!... Lalką tą bawiłaś się razem z Kurtusiem. Zwłaszcza tyś się nią zajmowała, myła, karmiła, ocierała, a raz przyszedł na to Flamm i tyś ją nawet przysadziła do piersi — — — Dziś rano przyniosłaś kwiatków. Nieprawda? te niezapominajki tam w wazoniku?... A w niedzielę tożeś znowu uwieńczyła mogiłkę Kurtusia. Dzieci i groby, to jest rezcz kobiet. (Wyciągnęła z szuflady koszulkę dziecięcą, trzyma ją obiemi rękoma za rękawki i mówi). Nieprawda, Różo? — Dziękuję ci pięknie za to! Ojciec

twój siedzi w misyach, bibliach i tym podobnych rzeczach. Powiada, że wszyscy ludzie, powiada, są grzesznikami i chce ich poprzemieniać w anioły. Może być, że ma racyę, ale ja się na tem nie rozumię... Jednegom się tylko nauczyła: mianowicie, co znaczy matka na ziemi i jak jest błogosławiona bólami.

(Róża padła, łkając, na kolana i na znak przyznania się całuje dziękczynnie, po niezliczone razy, ręce pani Flamm).

Pani Flamm (zdradza nagłym błyskiem oczu, że pojęła prawdę i zrozumiała wyznanie, ale mówi dalej spokojnie). Widzisz, dziewczyno, tegom się nauczyła. Nauczyłam się tego, a świat o tem zapomniał. O innych rzeczach to juści nic nie wiem! Nie wiem nic więcej ponad to, co każdy wie, a tego, że już każdy wie, nie nazywam wiedzą. (Kładzie ostrożnie koszulkę na kolano). Idź sobie teraz do domu i bądź dobrej myśli! Muszę się nad tem wszystkiem dobrze zastanowić!... Dobrze! O więcej się nie pytam... Ty już teraz nie jesteś tąsamą, a co do tego... Trzeba teraz podwójnie być ostrożną. Nie chcę o niczem wiedzieć! Spuść się na mnie! Mnie wogóle ojcowie są obojętni, czy to będzie jaki landrat, albo jaki włóczęga,.. My przecież same musimy dzieci przynosić na świat. Żaden z nas przy tem nam nie pomoże. Nad trzema rzeczami trzeba się zastanowić: z ojcem, z Augustem... no i jeszcze nad niejednem; masz przecie dosyć czasu! Pomyśl nad

tem... Przynajmniej na coś jeszcze przydał się człowiek na świecie.

Roża (podniósłszy się znowu jak zdrętwiała, do góry). Ach nie, pani lejtnantowa! Niech pani tego nie robi! — To nie idzie... Nie powinna się pani mną zajmować!... Ja na to nie zasłużyłam — ani wobec pani ani wobec nikogo. — Wiem to! — Sama to muszę zgryźć... Na innych spuszczać się nie mogę! Wyraźniej powiedzieć tego nie umiem... Pani lejtnantowa jest tak dobra, jak anioł!... Boże na niebie — pani jest za dobrą dla mnie... Ale to tak nie idzie!... Ja tego przyjąć nie mogę... Adje, pani lejtnantowa...

Pani Flamm. Zostań jeszcze chwilę! Teraz cię tak puścić od siebie nie mogę... Kto wie, co ty jeszcze gotowa urządzić.

Róża. Nie, pani Flamm może być zupełnie spokojna; do ostateczności u mnie jeszcze daleko! W razie czego umiem jeszcze na dziecko pracować: niebo jest wysokie, a świat jest daleki!... Jakby to zależało odemnie, a od nikogo więcej, jakby nie ojciec i kiejby człowiekowi nie było tak żal Augusta.., a dziecko przecie musi mieć ojca!

Pani Flamm. Dobrze! Bądź rezolutna, nie trać głowy!... Zawsze byłaś dziewuchą nie od parady! Tem lepiej, jeżeli się nie ugniesz!... Ale, jeżeli dobrze zrozumiałam, to cię znowu pojąć nie mogę: dlaczego opierasz się weselu?

Róża (zacięła się znowu, przerażona, lękliwa). Cóż ja mam pani powiedzieć?... Ja przecież nic nie wiem! — Ja się dalej opierać nie myślę, ino że... Streckmann...

Pani Flamm. Bądź otwartą, rozumiesz?... Zresztą, jeżeli o mnie idzie, możesz iść do domu, jeżeli o mnie idzie! Wróć jutro!... Słuchaj mnie!... Raduj się! Trzeba się radować ze swojego dziecka...

Róża. Ja się też, widzi Bóg, raduję!... Ja swojego dokonam, ino że przytem nikt mi dopomagać nie może.

(Znika).

Pani Flamm (sama, spogląda za nią, bierze koszulkę z kolan, rozwija ją, jak poprzednio i mówi). Ano, dziewczyno ty! masz szczęście! Dla kobiet nie ma większego szczęścia na świecie! Pilnuj go dobrze.

AKT III.

Żyzna okolica, na prawo pomiędzy polami, na nieco wklęsłej trójkątnej murawie stoi stara grusza, pod nią czyste źródło w prymitywnem obramieniu kamiennem. Punkt środkowy stanowią łąki. W głębi sceny staw, otoczony, olchami, leszczyną, zaroślami wierzbiny i buczyny, zarosły na brzegach sitowiem i roślinami wodnemi. Do stawu przylegają łąki, a półkolem otaczają go odwieczne dęby, klony, buki i brzozy. Z pomiędzy zarośli drzew, widać wieże kościelne i dachy wsi, po lewej stronie od zarośli, strzechy folwarku.

Gorące południe letnie, na początku sierpnia. Z daleka słychać szum młockarni. Z prawej strony wchodzą z wyrazem zmęczenia i znużenia wskutek upału i roboty stary **Bernd** i **August Keil.** Obaj ubrani są tylko w koszule, spodnie, buty i czapki. Każdy niesie motykę na plecach, w ręku kosę, a u rzemiennego pasa mają krowie rogi z osełkami do ostrzenia kos.

Bernd. A to upał dzisiaj! — Możeby spocząć! Ale radość ma człowiek—tak na własnym gruncie.

August. Człowiek nie przyzwyczajony do koszenia trawy.

Bernd. Aleś ty się dobrze trzymał.

August. E — nie wiem, jak to długo wytrwa. Już mnie rwie i łamie w kościach.

Bernd. Możesz być zadowolony, zięciu, juści do takiej roboty trzeba się przyzwyczaić. A u ciebie jest to wogóle ino wyjątek. Ale jak mówię, mógłbyś od razu iść w ogrodniki.

August. Na jeden dzień. Drugiego dnia będę już do niczego. Coś jestem chorowity. Wlazło wemnie jakieś licho i męczy. Byłem znowu u krejsfizyka. Jak zawsze, wzdrygnął ino ramionami.

Bernd. Zdrów jesteś i w rękach Bożych. Co najwyżej kilka zardzewiałych gożdzi rzucić do wody i dwa albo trzy razy na tydzień pić tę wodę. To czyści krew i wzmacnia serce. Żeby ino też pogoda dotrzymała.

August. Za wielka jest parność. A chwilami to mi się zdawało, że już grzmi.

Bernd (klęknął na krawędzi źródła i ustami napił się wody). Woda to przecie najlepszy trunek!

August. Która godzina?

Bernd. Będzie czwarta. Dziwi mnie, że Róży jeszcze mi ma z podwieczorkiem. (Wstaje przygląda się ostrzu kosy — to samo czyni August). Musisz ostrzyć? Mojej jeszcze nic jakoś nie potrzeba.

August. Mogę jeszcze spróbować bez tego.

Bernd (kładzie się w trawie pod gruszą). Lepiej chodź i usiądź przy mnie. A jak masz przy sobie testamencik, to możemy od razu coś sobie przeczytać.

August (siadając, również, zmęczony, odetchnąwszy). Ja tylko mówię: Bogu dank i chwała.

Bernd. Widzisz, August, ja ci to zaraz powiedziałem, dajcie jej spokój! Dziewucha się opamięta! No i teraz przyszła do rozumu. W dawniejszych czasach, jeszcze przed tym czasem z tobą —tom sobie nie raz łamał głowę! Przychodził nie raz taki upór na nią. Najlepiej dać jej spokój! — Nie raz, to było naprawdę tak, jak gdyby chciała walić głową o mur: o coś niewidzialnego, czego nikt nie widział, chodziła nieraz, jak po omacku, wśród tego wszystkiego.

August. Co ją wtedy opętało?... No teraz mogę na kolanach dziękować panu Bogu... ale wtedy nie wiedziałem, co na to poradzić! — Że ona tak na raz... z czem się to kleiło: jeszcze dzisiaj, nie umie sobie tego złożyć w mózgownicy.

Bernd. Jakżesz to było wtedy inaczej — niż ostatnim razem, kiedyśmy byli w urzędzie.

August. Jakoś mi jest przyjemniej, że Flamm już nie jest sołtysem.

Bernd. Tym razem nie skrzywiła się ani krzty i nie minęło pięć minut, kiej było już po wszystkiemu. Tak to czasem bywa! Takie to już baby.

August. Czy to było może w wspólnictwie ze Streckmannem? Krzyczał coś za wami, a przedtem to i z nią coś perorował.

Bernd. Być może tak, a być może nie! Ja-ci

tego nie wiem. Ot, nieraz to nie można z niej nic a nic wyciągnąć. To nieładnie. Właśnie dla tego człowiek się cieszy, że idzie za chłopa, który będzie na nią miał swój wpływ i że jej odbierze ten upór. Wyście oboje przeznaczeni dla siebie. Dobra jest. Potrzebuje też należytego kierunku, a ty rękę masz dobrą i łagodną.

August. Jak ino zobaczę tego maszynistę Streckmanna, to mi tak zaraz jest na wnętrzu, jakbym ujrzał samego czarta przeklętego...

Bernd. Ona myślała sobie, że ten łotr narobi nieszczęścia... zepsuty był już w maleńkości! Nie raz skarżyła się na to jego własna matka!... Któż to wie... Można się tego po nim spodziewać.

August. Kiedy ino tego człowieka widzę, tak nie poznaję siebie. Robi mi się zimno i gorąco, mrowie przechodzi mi po krzyżach i mało co nie obaczę samego Ojca niebieskiego... Chciałbym, żeby mnie był stworzył Samsonem! A niech mi to Pan Bóg przebaczy: nachodzą mnie złe myśli.—

(Słychać świst lokomobili).

August. Macie go!

Bernd. Nie troszcz się o niego.

August. Ano dobrze! Jak to wszystko się skończy, to się zamknę w cztery ściany i będziemy prowadzili ciche życie.

Bernd. Piękne, ciche życie—daj Boże!

August. A o świecie niechcę nic już wie-

dzieć. – Obmierzły mnie już te wszystkie szachrajstwa! Taki mam wstręt do świata i ludzi, że... tak, ojcze, nie wiem, jakby to ino zaraz powiedzieć?... Wiecie, jak mi to wszystko stanie tak — gardłem, to się śmieję... Tak bym wtedy był rad umrzeć... Tak się cieszę na to, jak dziecko.

(Kilku spragnionych robotników polnych, stara kobieta i dwie młode dziewczyny, wszyscy wracają z folwarku sołtysa Flamma, nadchodzą szybko polami. Są to: **Hahn, Heizeln, Gollisz, stara Golliszowa,** jego żona, **stary Kleinert, Starsza dziewka** i **dziewka młodsza.** Mężczyźni tylko w spodniach i koszulach, kobiety zaś w perkalowych spódnicach z chusteczkami na piersiach i głowie).

Hahn (lat trzydziestu, opalony, czerstwy). A widzicie, pierwszy przyszedłem do źródła! Gadajcie sobie, co chcecie, ale dogonić mnie — nie dogonicie! (Klęka i nachyla się nad studnią). Najchętniej to bym cały skoczył do tej wody.

Młodsza dziewka. No ino się waż! my także mamy pragnienie. (Do starszej dziewki). Masz ze sobą garnuszek?

Starsza dziewka. Słuchaj! Najprzód idzie starsza dziewka!

Heizeln (chwyta obie dziewki za ramiona, odciąga je od studni i pomiędzy niemi przepycha się do źródła). Najprzód idą mężczyźni, a dopiero potem baby.

Stary Kleinert. Miejsca przecie jest dosyć — dla nas wszystkich!... Nie prawda, ojcze Bernd? Daj Boże dobry podwieczerz!

Bernd. Tak, tak—ino że my jeszcze podwieczorku nie mamy. Ciągiem jeszcze czekamy nadaremnie.

Gollisz. Ja... ja... ja... Można by mnie wykręcić—takem się spocił!... Język zesechł w gębie, jak kawał drewna.

Stara Golliszowa. Wody!!

Stary Kleinert. Jest woda! Starczy dla wszystkich.

(Wszyscy piją łapczywie; częścią bezpośrednio ze źródła, częścią z dłoni, częścią kapeluszami, częścią garnuszkami i butelkami. Przytem słychać tylko łykanie i nabieranie tchu).

Heizeln (wstając). Woda dobra, ale piwo byłoby lepsze.

Hahn. Wierzę, tak kieliszeczek gorzały!...

Gollisz. No... August, mógłbyś też kwartę postawić!

Stara Golliszowa. Lepiej niech nas zaprosi na wesele.

Gollisz. Na wesele przyjdziemy wszyscy. Ponoć ma być niedługo.

Heizeln. Ja nie przyjdę, bo, ci da ino wodę do chlania... A to mogę mieć i tutaj, u źródła... Abo może dla garnuszka kawy...

Hahn. Abo na śpiewy i modlitwy... Kto wie, może przyjdzie także i proboszcz z Janikowa i będzie przesłuchywał dziesięciorga przykazań.

Heizeln. Abo siedmiu grzechów głównych!...

Dobrze-ć by ten egzamin nie wypadł... zapomniałem wszystko.

Stary Kleinert. Moi ludkowie, dajcie Augustowi spokój. To wam mówię: gdybym miał jeszcze dziewuchę, to bym sobie lepszego zięcia nie życzył: on się zna na rzeczy! Jest na swojem miejscu.

(Robotnicy i robotnice zasiedli półkolem i spożywają podwieczorek, złożony z kawy w dzbankach blaszanych i grubych glonów chleba, z których kozikami odkrawują po kęsie).

Stara Golliszowa. O, idzie Rózia Berndówna z poza folwarku.

Gollisz. Patrzajcie ino, jak ona umie skakać!

Stary Kleinert. Ona sama podźwignie worek pszenicy i zaniesie go na strych. Dzisiaj rano widziałem ją z szafą na taczkach, — przewoziła ją do nowej chałupy. Jędrna dziewczyna, będzie umiała wszystko trzymać w garści.

Hahn. Wiecie, ludkowie, gdyby mnie tak zawsze się wiedło, jak Augustowi, to juścić bym na to nie narzekał: trzeba by rozpocząć z świętościami.

Stary Gollisz. Trzeba się umieć z tem obchodzić, to interes pójdzie.

Hahn. Kiej sobie człek pomyśli, jak to on po wsiach z torbą chodził i sprzedawał pisma, a potem, jak ludziom pisywał listy... Dzisiaj ma w Wandriss najpiękniejsze obejście i zabiera się do ożenku z najpiękniejszą dziewką w powiecie.

(**Róża Bernd** wchodzi z koszykiem, zawierającym podwieczorek dla Bernda i Augusta).

Róża. Daj Boże dobry podwieczorek.

Ludzie. Daj Boże! Daj Boże! Dziękujemy!

Stara Golliszowa. A dyć ty narzeczonemu każesz, Róziu, umierać z głodu.

Róża (rozpakowuje wesoło). A gdzież tam! Tak łatwo z głodu jeszcze nikt nie umarł.

Heizeln. Trzeba mu, Róziu, dobrego obroczku, bo nie utyje....

Stara Golliszowa. Będzie dla ciebie za chuderlawy.

Bernd. Gdzieżeś to tak długo siedziała, hę?.. Czekamy już pół godziny.

August (półgłosem, z niezadowoleniem). Zeszła się cała gromada! Gdyby nie to, bylibyśmy już dawno gotowi.

Stara Golliszowa. Niech sobie mruczy! nic sobie z tego, dziewczyno, nie rób!

Róża. Któż tu, Golliszowa, mruczy? Któż tu miałby mruczeć? August nie mruczy nigdy w życiu.

Stara Golliszowa. A choćby! Mówię ci, nic sobie z tego nie rób!

Heizeln. Choćby teraz i nie mruczał, to przyjdzie na to czas.

Róża. Nie lękam się, żeby kiedy do tego doszło.

Gollisz. Takeście to naraz zgodni ze sobą?

Róża. My zawsze byli ze sobą zgodni, nie prawda, August? (Całuje go. Ludzie wybuchają śmiechem). Dlaczego się śmiejecie? Inaczej być nie może!

Gollisz. Nie... wiecie... czy ja sobie kiedy wyobrażałem, że.... będę mógł łazić przez okno...?

Stary Kleinert. Poniósłbyś kości swoje w chusteczce!...

Starsza dziewka (z przytykiem). O la Boga! O la Boga!.. Muszę też popróbować... Kto wie!?..

Bernd (spochmurniał, spokojnie). Dziewka! zmityguj się trochę!

Stary Kleinert. Słuchaj: on ci to powiada... zmityguj się trochę! Stary Bernd żartować nie lubi.

Róża. Nic takiego nie powiedziała!... Co chcecie od niej??

Stary Kleinert (zapalając fajkę). Teraz łagodny jest jak baranek, ale jak się rozsierdzi, to niktby nie uwierzył... Ja wiem, jak był jeszcze włodarzem, juści tam kobietom nie było do śmiechu. On był takim, jak ty, dziesięciu poradził, włóczyć by się z chłopami już nie dało...

Starsza dziewka. Kto się z kim włóczy?..

Stary Kleinert. Trzeba by się spytać maszynisty Streckmanna.

Starsza dziewka (cała w pąsach). Możecie się spytać samego pana Boga!

(Ludzie wybuchają śmiechem)

(Zjawia się maszynista **Streckmann**; obsypany pyłem, zjawia się prosto od młockarni; przytem lekko podchmielony).

Streckmann. Kto tu wycierał sobie gębę maszynistą Streckmannem? Przyszedł! Stoi! Kto tu chce z nim zacząć? — Dobre południe! Daj Boże dobry podwieczorek wam wszystkim

Stara Golliszowa. Mówi się o djable, a djabeł tu, jak na rozkaz!

Streckmann. A ja was estymuję niby djablą babusię. (Zdejmuje czapkę z kokardą i pot ociera z czoła). Ej ludzie! wy ludzie! Długo wam placu nie dotrzymam: przy takiem harowaniu skóra i kości idą na djabła!... Dzień dobry, August! Dzień dobry, Róziu! Dzień dobry, ojcze Bernd!... Jezusie Chrystusie! Cóż to? Nie możecie odpowiedzieć?—

Heizeln. Daj im spokój! Za dobrze im się wiedzie na świecie.

Streckmann. Swoim wybrańcom to Pan Bóg wszystko daje łatwo, jak przez sen. A tu człowiek to musi się mordować i do niczego nie doprowadzi. (Usiadł, wcisnąwszy się pomiędzy Heinzla i Kleinerta, i podaje flaszkę wódki Heinzlowi). Puścić to w kółko.

Stara Golliszowa. Żyjesz najgorszem życiem, Streckmann!... Na miłość Boga, co ty masz do skarżenia się! Podwójny, potrójny zarabiasz grosz, a potrzebujesz ino trochę postać przy maszynie.

Streckmann. Pracuje się głową!.. Ma się mózg w porządku!.. Juści, że kapuściane łby nie nadążą!..

Sprobujcie!... Co może o tem wiedzieć pierwsza lepsza stara baba! A zresztą, co ja mam za kłopoty...

Gollisz. O rety! przerety! Streckmann ma kłopoty!

Streckmann. Więcej, niż potrzeba!.. Czuję to, mogę wam powiedzieć — we łbie... a jak chcecie to i w brzuchu, abo i naokoło serca!... Tak mi jest na dołyszku, że mi się zbiera na żyganie: miałbym ochotę zrobić coś takiego, co... (do młodszej dziewki). Dziewucho położyć się przy tobie?

Młodsza dziewka. Osełką łeb ci ozbiję.

Gollisz. O widzicie, takie to są jego kłopoty: ciemno mu się robi w oczach, nic już nie widzi, a wtem naraz kładzie się do łóżka, do dziewczyny. (Głośny śmiech).

Streckmann. Śmiejcie się, wy gałgany! Naśmiejcie się do sytości! Mnie, mówię wam, nie do śmiechu. (Chełpliwie). Dam sobie maszynie urwać ramię!.. Abo podstawię łeb pod kolbę!.. Abo, (do młodej dziewki) jak chcesz, to ty mnie zabij, dziewucho!

Hahn. Może byś podpalił stodołę?

Streckmann (zaprzeczając). Nie! Ognia mam dosyć w sobie! August to jest szczęśliwy człowiek!...

August. Czym jest szczęśliwy, albo nieszczęśliwy, to nikogo, mówię, nie obchodzi!...

Streckmann. Co ja ci robię? Może byś trochę był grzeczniejszy...

August. Grzeczność mam na gdzieindziej.

Streckmann (patrzy na niego przeciągłym, nienawistnym wzrokiem, połyka następnie złość i chwyta podaną mu butelkę). Dawajcie!.. Trzeba zalać trochę! (do Róży). Nie potrzebujesz na mnie tak patrzeć. Sprawa skończona! — (Wstaje). Odchodzę!... Nie myślę klinem włazić między was.

Roża. Mnie wszystko jedno — możesz sobie iść, abo i zostać.

Stara Golliszowa (woła za Streckmannem). Streckmann! Jak było niedawno? — Przed trzema tygodniami, przy młockarni!... kiedym zbierała rzepak?..

(Dziewki i robotnicy wybuchają śmiechem).

Streckmann. To już przeszło! Ja nic o tem nie wiem.

Stara Golliszowa. Nielada wysoko sięgałeś...

Stary Kleinert. Przestańcie, ludzie, już raz z tą gadaniną.

Stara Golliszowa. A po co jest taki zadzierzysty pyszałek?

Streckmann (wraca). Com powiedział to i przeprowadzę... I to wam mówię, na zbawienie duszy... A teraz dobrze!.. więcej nie powiem. (Odchodzi).

Stara Golliszowa. Zawsze-ć łatwiej jest milczeć...

Streckmann (wraca, chce mówić, ale panuje nad sobą).

Nic!... Na lep twój nie pójdę!... Ale jeżeli chcesz się dowiedzieć prawdy: spytaj się wej! Augusta, albo starego Bernda.

Bernd. Co się tu dzieje? Co my mamy niby wiedzieć?

Stara Golliszowa. Jakeście wtedy szli do urzędu — z zapowiedziami... jakeście wtedy przechodzili i Streckmann coś za wami wrzeszczał...

Stary Kleinert. Czas masz, żeby przestać!

Stara Golliszowa. Dlaczegoby nie? To przecie są ino same żartobliwości... Nimeście wtedy niby doszli do ładu... Abo, czy niby Rózia nie chciała się zgodzić? — — —

Bernd. Boże wam wszystkim odpuść grzechy! — Ale ja się też ino was zapytam, dlaczego nie możecie nam dać spokoju?... Abo czy my może zrobili komu co złego?

Gollisz. My przecie nikomu krzywdy nie wyrządzamy...

Róża. Czym wtedy chciała, czy nie — o to niech was głowa nie boli. Dzisiaj chcę i na tem koniec.

Stary Kleinert. Dobrze masz, Rózia!... Dobrześ jej powiedziała!

August (który dotychczas niby to był zatopiony w nowym testamencie, zamyka teraz książkę i wstaje). Chodźcie, ojciec; zabierzma się do roboty.

Hahn. Na to trzeba trochę większej piersi,

aniżeli do klejenia książek do nabożeństwa i do rozcierania klajstru.

Heizeln. A już po weselu, to dopiero trzeba będzie piersi wyprężać!... Taka dziewczyna, jak Rózia, to już czegoś potrzebuje.

(Śmiech).

Streckmann (również wybuchając śmiechem). O jej!.. Omało-żem coś nie powiedział.—(Staje znowu w rzędzie). Zadam wam też jedną zagadkę! — mam zadać? — Ciche wody brzegi rwą! — taka jest, wiecie, zagadka: Człowiek nie powinien wogóle liznąć krwi! Pragnienie będzie coraz to bardziej piekło.

Stara Golliszowa. Co takiego? A gdzieś ty liznął krwi?

Bernd. Pewnie ma na myśli gorzałkę.

Streckmann. Odchodzę!.. Hadje!.. Dobry jestem!.. Hadje, ojcze Bernd! Hadje, August! Hadje Róziu! (Do Augusta). August, nie sierdź się!—Dobrze wszystko! Mówię to przecie! Nie zobaczycie mnie więcej!... Ale ty — ty masz wszelki powód być mi wdzięczną! Zawsze byłaś chytra! — Ja się zgodziłem na wszystko — zgodziłem się na wszystko i wszystko poszło gładko. (Odchodzi).

Róża (gwałtownie i energicznie). Niech sobie gada, August! Nie troszcz się o to.

Stary Kleinert. Idzie Flamm! (Patrzy na zegarek). Już jest przeszło pół godziny!

(Słychać świst lokomobili).

Hahn (podczas gdy się wszyscy zrywają z miejsc). Naprzód, wiara!.. Nędza gwizda!

(Robotnicy z kosami i dziewczęta szybko odchodzą. Pozostali na miejscu Róża, stary Bernd i August).

Bernd. Sodoma i Gomora!——Co ten Streckmann gadał? Powiedz ino, Róziu, czy ty co z tego rozumiesz?

Róża. Nie! Mam o czem godniejszem do myślenia! (Daje Augustowi kułaka). Nie prawda, August? My nie mamy czasu na takie głupstwa! Trzeba się zwijać w tych sześciu tygodniach? — (Składa resztki podwieczorku do koszyka).

August. Przyjdź potem na chwilę do nas.

Róża. Muszę prać, prasować, obszywać dziurki... kiedy już tak daleko doszło.

Bernd. Przyjdziemy o siódmej na wieczerzę. (Odchodzi).

August (przed odejściem poważnie). Jesteś ty dobra dla mnie, Róziu?

Róża. Dobra jestem dla ciebie!

August (odchodzi).

Róża (zostaje sama. Słychać dudnienie młockarni i dalekie zwiastuny burzy. Złożywszy chleb, masło, dzbanki i garnuszki od podwieczorku do koszyka, Róża wstaje z koszykiem na ręce, i zdaje się spostrzegać w dali coś, co ją przykuwa do miejsca. Z nagłem postanowieniem poprawia chusteczkę, która jej spadła z głowy, i ucieka. Zanim jednak zginęła z widnokręgu, zjawia się Flamm, z strzelbą, przewieszoną przez plecy, i woła ją.

Flamm. Różo! Stanąć! Do pioruna!

Róża (staje z zdziwioną twarzą).

Flamm. Daj mi się napić! Cóż to? wart już nie jestem wody od ciebie?

Róża. O, jest przecie woda!

Flamm. Nie jestem przecie ślepy! Ale nie chcę chłeptać, jak cielęta! — Nie masz garnuszków w koszyku, czy co?

Róża (odsuwa wieko od koszyka).

Flamm. No widzisz! Nawet garnuszek bolesławicki*)! Z bolesławickich pije się najlepiej! (Podaje mu filiżankę, twarz mając znowu zdziwioną). Proszę cię!... Trzeba więcej uprzejmości!—Będziesz musiała się pofatygować jeszcze raz! —

Róża (idzie do studzienki, wypłukuje garnuszek, napełnia go wodą, stawia przy studni, wraca do koszyka, bierze go na rękę i czeka, plecami odwrócona do Flamma.

Flamm. Ano widzisz, Różo! To tak być nie może. W taki sposób można się obejść z pierwszym lepszym parobkiem. Tymczasem jestem jeszcze sołtysem Flammem!—Dostanę pić, czy nie dostanę?—No—raz! No dwa!—No trzy!—i—koniec! Teraz proszę być grzeczną! Przestań się dąsać!—

Róża (podeszła znowu ku źródłu, podniosła dzbanek, podaje go Flamowi, znowu z odwróconą twarzą).

Flamm. Tak—tutaj—daj tutaj!—Jeszcze nie idzie!

Róża. Nie! pan musisz potrzymać!

Flamm. A któż będzie pił?

---

*) Bunzlau na Śląsku, po polsku Bolesławiec.

Róża (mimowolnie rozweselona — musi ku niemu odwrócić głowę). Nie...

Flamm. Tak już jest lepiej! — Tak jest dobrze! (Równocześnie, jak gdyby nie naumyślnie, idąc niby potrzymać dzbanek, kładzie ręce swoje na trzymające dzbanek ręce Róży i, pijąc z dzbanka, zniża się coraz bardziej, aż klęka na jednem kolanie) Tak! — Dziękuję ci, Róziu! — Teraz możesz mnie puścić.

Róża (czyni delikatne wysiłki celem uwolnienia się od niego.) Ach! nie! Niechże mnie pan puści, panie Flamm!

Flamm. Tak? — Myślisz? — A więc myślisz, że powinienem cię puścić — teraz, kiedy cię znowu mam nareszcie?! Nie! dziewczyno, to tak łatwo nie idzie, — to nie idzie! — Wcale tego nie żądaj odemnie! — Ani nawet tego nie próbuj. Już mi ty nie umkniesz! Przedewszystkiem spojrzyj na mnie — znowu poczciwie! — Jestem jeszcze ten sam! — Ja wiem! Ja wiem o wszystkiem! — O wszystkiem! — Mówiłem z kasyerem Stecklem, gdzieście się już pojednali. Bogu dzięki, że już nie jestem urzędnikiem od stręczenia! Przy łapce na lisy stoi już kto inny. Ja wiem także, ten pogrzeb... do pioruna chciałem powiedzieć... wesele! A prócz tego rozmawiałem sam ze sobą! Róża jest twardy orzech, mam nadzieję, że sobie człowiek na niej zębów nie połamie.

Róża. Ja tak z panem tutaj stać nie mogę — panie Flamm.

Flamm. Musisz! Czy możesz czy nie możesz, to mnie wszystko jedno! Tak mi to jest obojętne, jak zeszłoroczny śnieg. — Jeżeli tak naprawdę Bóg już postanowił, to żołnierz domaga się należytego pożegnania; tak ni stąd ni zowąd za drzwi wyrzucić się nie dam! Różo! czy mam cię za co przepraszać?!

Róża (gwałtownie potrząsając głową, łagodnie). Pan nie ma mnie co przepraszać, panie Flamm.

Flamm. Nie? — Mówisz szczerze?

(Róża przytakuje gwałtownym ruchem głowy).

Flamm. To mnie przynajmniej cieszy. Takem sobie też zawsze myślał! Teraz można się zastanowić nad wszystkiem, co było! — Ach, Różo, piękne to były czasy!...

Róża. A pan musisz wracać do swojej żony.

Flamm. Że też to wszystko tak prędko musiało minąć, niby w mgnieniu oka! Piękne czasy! Cóż ma człowiek z tego?!

Róża. Powinien pan być dobry dla swojej żony, panie Flamm! Żona pańska to anioł, ona mnie uratowała!

Flamm. Chodź! Pójdziemy pod gruszę! — I owszem! — Cóż takiego?! Zawsze byłem dobry dla żony. Jesteśmy ze sobą na najlepszej stopie. Chodź, Różo! Opowiedz mi to dokładnie. A zatem: jakżeż to jest? Cóż to znaczy uratowała? Co? — Od czego cię uratowała, Różo!? Naturalnie, mnie

to interesuje... Cóż to się właściwie z tobą wtedy stało? Żona robi rozmaite przytyki: mądrym z tego być nie można.

Róża. Panie Krzysztofie! Panie Flamm! Ja usiąść nie mogę! — To się nie da, to do niczego nie prowadzi! Wszystko minęło! — i owszem! Wszystko już skończone! — Ja wiem: Pan Bóg mi ten grzech przebaczy; a i niewinnemu dziecku tego nie policzy. Na to jest za miłosierny.

Flamm (robiąc aluzyę do dudnienia młockarni). A to przeklęte, nieustanne dudnienie! — Co?! — możebyś usiadła na chwilę, nic ci nie zrobię, nie ruszę cię — słowo honoru, Różo! Powinnaś się wygadać! — Powinnaś mieć do mnie trochę zaufania.

Róża. No tak... ja nic nie wiem! — Jak będę zamężna, to niech się pan spyta pani lejtnantowej, to może ona panu powie — co jest teraz ze mną. Augustowi — jeszczem nic nie mówiła! Ja wiem, że on dobry! Dlatego się lękam! Bo jest miękkiego serca i chrześcijanin! A teraz adje, Krzysztof! Bądźcie zdrowi. Człowiek ma długie życie przed sobą, można być jeszcze bardzo wierną, można się biczować, porządnie pracować, zapłacić za grzechy i odpokutować.

Flamm (trzymając silnie dłoń Róży). Różo! Zostań jeszcze chwilę! Co do mnie, to juścić zgoda! — Na wesele twoje, widzi Bóg, nie przyjdę! — Ale choć na wesele twoje nie przyjdę, to jednak widzę,

że masz teraz słuszność. — Dziewczyno, jakbym ja cię lubił... tak szczerze .. powiedzieć ci tego nie umiem, jakbym ja cię lubił!... Dyabli wiedzą — od czasu... od czasu kiedym zaczął myśleć... Już mnie wtedy ciągnęło ku tobie, kiedyś jako dziecko była taka szczera, taka otwarta, w tysiącu drobnych rzeczy... kiedy ci się o co kto pytał... taka odrazu serdeczna... i niekłamliwa. Bez szachrajstw, bez wykrętów, choćby się lustro rozbić miało na tysiąc kawałków. Dosyć ja przecie znałem kobiet i w Tarant i później w Eberswalde — w akademii, przy wojsku, gdzie przeważnie szalone miałem szczęście, a jednak o szczęściu wiem dopiero teraz, przez ciebie.

Róża. Ach Krzysztofie! i ja pana lubiłam.

Flamm. Zakochana byłaś we mnie — od maleńkości. Nieraz strzeliłaś oczkiem ku mnie... Będziesz jeszcze kiedy o tem myślała?! O tym starym, zwaryowanym grzeszniku Flammie?

Róża. O będę! Mam przecie pamiątkę!

Flamm. Ach tak! Pierścionek z kamieniem. Czy przyjdziesz czasem do nas?

Róża. To niepodobieństwo! Za bardzoby człowieka bolało serce, to byłyby podwójne męczarnie i tortury! To się musi skończyć! Zagrzebię się w domu! Chcę robić i harować we dwoje! Zaczyna się nowe życie i na stare już się człowiek oglądać nie powinien. Na ziemi niedola tylko i nędza, a my czekać musimy na niebo!

Flamm. Czy to ma być ostatnie pożegnanie, Różo?

Róża. Ojciec i August już się dziwią.

Flamm. A choćby się i ryby w wodzie dziwiły, a trzciniak stanął na głowie, to ja nie odrzucę ani sekundy – a więc to ma być już raz na zawsze? – I matusi także nie odwiedzisz?

Róża (potrząsa głową). Nie mogę jej patrzeć w oczy! Może kiedyś później! Może po dziesięciu latach! Może to jednak kiedyś człowiek przezwycięży. Hadje, panie Krzysztof! Hadje, panie Flamm!

Flamm. Dobrze! Dziewucho, mówię ci... Gdyby nie było matusi... jeszcze teraz... nie robiłbym żadnych ceregieli... zrobiłbym krótki proces.

Roża. Tak — gdyby nie było tego słóweczka gdyby! — Bez Augusta i ojca ja nie wiem co bym czyniła! Najlepiej uciekać w daleki świat.

Flamm. A ja z tobą, Różo! — Ano tak! — Ano więc — to się już tak stało! — No ale możesz mi jeszcze raz podać rękę... (Ściska jej rękę, oboje na pożegnanie patrzą sobie prosto w oczy). Co się ma stać, to stać się musi. — A teraz trzeba się nam rozejść!

(Odwraca się nagle i, nie oglądając się, pewnym odchodzi krokiem. Róża patrząc za nim, starając się opanować z największym wysiłkiem woli).

Róża. Co ma się stać, to stać się musi. — A teraz koniec!

(Chowa dzbanek do koszyka i chce w przeciwnym odejść kierunku. Zjawia się Streckmann),

Streckmann (blady, zmięszany, obleśnie i lękliwie) Różo! Róziu Bernd! — Nie słyszysz? — To znowu był ten łajdak, sołtys Flamm! Niech ino on mi wlezie w łapę... żebra mu połamię w ciele! — Co on znowu chciał od ciebie? Ale to ci powiadam: tak być nie może! Ja tego nie ścierpię! Jeden jest taki dobry, jak i drugi. Ja się tak kopnąć nie dam.

Róża. Co pan mówi? Kto pan wogóle jesteś!

Streckmann. Kto jestem? Psia-krew — już ty o tem wiesz!

Róża. Kto pan jesteś? Gdzież ja to pana widziałam?

Streckmann. Co? mnie?! Gdzieś mnie widziała? Wybierz sobie kogo innego na drwiny.

Róża. Czego pan chce? Kto pan jesteś? Co pan chce odemnie?

Streckmann. Łajno chcę! Nic! Rozumiałaś! W imię Boże! Nie wrzeszcz tak!

Róża. Zwołam cały świat, jeżeli mi pan nie przestaniesz teraz nadeptywać na pięty.

Streckmann. Pamiętaj o wiśni! Pamiętaj o Bożej-męce!

Róża. Kim pan jesteś! Kłamstwo! Czego pan chcesz odemnie?! Albo pan sobie stąd pójdziesz... krzyczeć będę o pomoc... co ino będę mogła...

Streckmann. Czyś ty dziewczyno zgubiła rozum?!

Róża. Ano nie potrzebuję go już dźwigać ze

sobą! Kto pan jesteś? Kłamstwo! Pan-żeś nic nie widział! Będę krzyczeć, że ci dech ustanie, jeżeli pan się stąd zaraz nie wyniesiesz.

Streckmann (przerażony). Róziu! odchodzę, bądź cicho! już dobrze!

Róża. Ale zaraz! Natychmiast! Z miejsca! Rozumiesz?!

Streckmann. Zaraz, zaraz i owszem! Dlaczegoby nie! (Czyni grymaśny ruch — jakby się chronił przed ulewą.

Róża (oszalała z gniewu). A to łajdak! A to szuja! Powiesić tego łotra! bo jeszcze będzie się musiał człowiek od niego ubezpieczyć, jak od ognia! Fe, powiadam! z wierzchu wykrygowany, a wewnątrz zżarty przez robactwo. Gardłem wyłazi obrzydzenie człowiekowi.

Streckmann (odwraca się blady, ponury, straszny). Ach! — Czy być może?! — Co też ty mówisz! — To nie bardzo apetytne żarcie? A czemuś była na nie taka łapczywa?

Róża. Ja łapczywa? Na ciebie?

Streckmann. Możeś zapomniała?

Róża. Szuja!

Streckmann. Jestem nim.

Róża. Szubrawiec! Szuja! Co ty tu jeszcze masz do węszenia?! Kto ty jesteś? Kto pan jesteś? Co ja niby zrobiłam? Wieszałeś się na moich pię-

tach! Ścigałeś mnie! Wyszczerzałeś na mnie kły! Ty szujo! Gorzej od rzeźnickiego psa!

Streckmann. Tyś za mną latała!

Róża. Co?

Streckmann. Łaziłaś do mojego domu, robiłaś mi piekło!

Róża. A ty...

Streckmann. No cóż ja?

Róża. A ty? A ty?

Streckmann. No juści-ć strawą nie pogardzam.

Róża. Streckmann! Ty umrzesz tutaj! Tu! słyszysz!? Pomyśl o swojej ostatniej godzinie. Musisz już raz stanąć przed Sędzią! Przylatywałam do ciebie w śmiertelnym strachu, błagałam cię na wszystkie świętości... żebyś mnie z Augustem w drogę nie właził. Wiłam się przed tobą na kolanach — a ty mówisz teraz, żem za tobą latała? — To jest: popełniłeś zbrodnię!! Na mnie popełniłeś zbrodnię! to więcej, niż podłość! to podwójna — potrójna zbrodnia! Pan Bóg pokarze cię za to!

Streckmann. No — słuchajcie ją! Niech się dzieje wola Jego!

Róża. Co mówisz? Niech się dzieje wola Jego!? Ty czarcie! W pysk ci napluję!

Streckmann. Pamiętaj o wiśni! Pamiętaj o Bożej-męce!

Róża. Przysięgałeś mi, że nic nie będziesz

mówił! Składałeś mi święte przysięgi! Położyłeś rękę na krzyżu, sumitowałeś się przysięgą na krzyż! a teraz na nowo rozpoczynasz nagankę. — Czego ty chcesz?

Streckmann. Jestem tak dobry, jako i Flamm, i ty z nim się zadawać już nie masz!

Róża. Włażę do jego łóżka? ty kanalio?! A gdyby i tak było — to cię ani krzty nie obchodzi.

Streckmann. To się wszystko pokaże w samą porę!

Róża. Cooo?! Zadałeś mi gwałt! napadłeś na mnie! Powaliłeś mnie! Jak drapieżnik, takeś się rzucił na mnie! Ja wiem! Chciałeś uciekać drzwiami! podarłeś na mnie stanik i spódnicę! Do krwi-ś mnie podrapał! Chciałam jeszcze uciekać — a tyś zasunął zaporę! To jest zbrodnia! Ja cię podam do sądu...

(Bernd i August zjawiają się jeden za drugim, za nimi Kleinert i Gollisz).

Bernd (tuż przed Streckmannem). Co się tu dzieje? Coś ty zrobił mojej dziewczynie?

August (odciąga Bernda, sam się wysuwając naprzód). Ja, ojcze! — Pyta się, coś zrobił Rózi?

Streckmann. Nic.

Bernd (znowu się pchając naprzód). Coś zrobił dziewczynie?

Streckmann. Nic.

August (wysuwając się naprzód). A teraz powiesz, coś jej zrobił?

Streckmann. Nic. Dyabłam jej zrobił!

August. Albo teraz powiesz, coś jej zrobił — albo...

Streckmann. Albo?... No?... cóż to „albo“ ma tutaj oznaczać?! Precz z rękami... Precz z ręką od gardła!

Kleinert (usiłuje ich rozdzielić). Stójcie!

Streckmann. Rękę od gardła!

Bernd. Teraz musisz wierzyć. Albo...

August. Cóżeś zrobił dziewczynie?!

Streckmann (w ciągłem przerażeniu, cofając się ku gruszy, krzyczy). Ratunku!

August. Coś zrobił dziewczynie?! Odpowiadaj! Odpowiadaj! Ja chcę to wiedzieć!

(Wyswobadza się z rąk Streckmanna).

Streckmann (nabiera tchu, uderza go pięścią w twarz). To jest moja odpowiedź! — To jej zrobiłem!

Kleinert. Streckmann...

Stara Golliszowa. Trzymajcie Augusta — upada!

Starsza dziewka (podtrzymuje chwiejącego się Augusta). August!

Bernd (nie zważając na Augusta, do Streckmanna). Odpowiesz za to! Nie wykręcisz się!

Streckmann. A to świństwo! Dla takiej dziewki, która się zadaje z całym światem!... (Odchodzi).

Bernd. Co to było za słowo?!

Kleinert (razem z Golliszem, starszą dziewką, z Hahnem i starą Golliszową, podtrzymujący bezprzytomnego niemal Augusta, mówi). Oko mu wylazło!

Stara Golliszowa. Ojciec Bernd, Augustowi nie bardzo się powiodło!

Kleinert. Nieszczególne ma narzeczeństwo.

Bernd. Co? Co takiego? Zbawicielu świata! August?!

August. Wielki mam ból w lewem oku!

Bernd. Róża — przynieś wody!

Stara Golliszowa. A to nieszczęście!

Bernd. Róża, przynieś wody! nie słyszysz?!

Gollisz. To znaczy z roczek więzienia.

Róża (jak gdyby teraz się dopiero ocknęła). A, taki... A... taki.. Tak... cóż to teraz ma znaczyć?... Ja przecie... dostałam lalkę na Gody... lalkę dostałam na Gody...

Młodsza dziewka (do Róży). Czy ty śnisz?

Róża. ...Nikt mi tego powiedzieć nie może... Nie, dziewczyno; to nie idzie, to się zrobić nie da, człowiek powinienby może... przecież... mieć matkę...

AKT IV.

Ten sam pokój w domu Flamma, co w akcie II-gim. Dzień sobotni. Popołudnie w początkach miesiąca września. Przy biurku siedzi **Flamm** nad rachunkami. Opodal drzwi, prowadzących do sieni, stoi **Streckmann**.

Flamm. A zatem, należy się panu jeszcze dwieście sześć marek i trzydzieści fenigów.

Streckmann. Tak, panie Flamm.

Flamm. Cóż to się stało z maszyną? Jedno południe świętowałeś pan!

Streckmann. Miałem termin w sądzie powiatowym. Maszyna była całkiem w porządku.

Flamm. To była sprawa... z Keilem?

Streckmann. Tak, a prócz tego zaskarżył mnie Bernd, że miałem obrazić jego córkę.

Flamm (wyciągnął z szuflady pieniądze i wylicza je na wielkim stole). A więc masz pan tutaj dwieście... dwieście sześć marek — i pięćdziesiąt... a pan mi zwrócisz dwadzieścia fenigów.

Streckmann (zgarnia pieniądze, a kładzie natomiast dwadzieścia fenigów. A więc mam powiedzieć panu

rządzcy: tak w połowie grudnia — będzie znowu można wziąść się do roboty.

Flamm. Tak na dwa dni. Powiedzmy w początkach grudnia. Chciałbym wypróżnić tę wielką stodołę.

Streckmann. W pierwszych dniach grudnia, i owszem panie Flamm. — Hadju.

Flamm. Hadju, Streckmann! — Powiedz pan, jak będzie z pańską sprawą?

Streckmann (staje — wzrusza ramionami). Nie wiele z tego będzie, panie Flamm!

Flamm. Jak to?

Streckmann. Trzeba będzie w to uwierzyć.

Flamm. Co też to taka drobnostka może mieć za skutki? W jakiż sposób takeście ze sobą zadarli?

Streckmann. Ja już tego nie pamiętam. Musiałem być wtedy mocno zalany... Ale ja sobie nic a nic tego nie przypominam.

Flamm. Introligator uchodzi przecie za człowieka bardzo spokojnego.

Streckmann. Ze mną zawsze on zaczyna! Ale zresztą to dla mnie jakby tego nie było! Wiem tylko tyle, że napadli mnie, jak dwa drapieżne wilki: myślałem, że stracę życie. Gdybym był tego nie myślał, to bym był sobie ręki także nie wykręcił.

Flamm. A oka nie można już było uratować?

Streckmann. Nie—żal mi bardzo, ale ja temu nieszczęściu nie jestem winien.

Flamm. Taka sprawa jest złą sama przez się! A jak sądy wkroczą, to będzie jeszcze gorzej! Zwłaszcza żal mi dziewczyny.

Streckmann. A zemnie także wszystko opada... o! Tak mnie to wszystko obeszło. Nie wiem, już, panie lejtnancie, co znaczy sen. Ja też właściwie do Augusta nie mam żadnej urazy! Ja poprostu... jestem jak nieprzytomny!

Flamm. Powinieneś pan pójść do Bernda. Jeżeliś pan obraził córkę, a nie całkiem byłeś przy zmysłach—toś pan powinien poprostu odwołać.

Streckmann. To mnie nic nie obchodzi! To jego rzecz! Gdyby on wiedział, co z tego wyniknie, toby skargę swoją cofnął! Co prawda, powinien mu to powiedzieć kto inny — że nie wyrządza dziewczynie żadnej przysługi. Tak, tak, hadju panie lejtnancie!

Flamm. Adieu.

Streckmann (odchodzi).

Flamm (do siebie, wzburzony). Gdyby takiego draba można tak za gardło!...

Pani Flamm (wjeżdża na krześle, popychanem przez pokojówkę, z izby myśliwskiej na scenę). Cóżeś ty znowu mruczał, Flamm? — (Na znak jej pokojówka się oddala). Miałeś jakie przykrości?

Flamm. Dziękuję, ot tak.

Pani Flamm. Czy to nie był Streckmann?

Flamm. Tak, ten piękny Streckmann, to był ten piękny Streckmann, a jakże!

Pani Flamm. Jakżeż właściwie ma się ta sprawa? Czyście rozmawiali może o Keilu?

Flamm (kreśli coś w rachunkach). E—co! ja mam rachunki w głowie!

Pani Flamm. Może Ci przeszkadzam? Krzysiu?

Flamm Nie. Ty lko zachowuj się trochę ciszej.

Pani Flamm. A jeżeli o to tylko idzie, to mogę ręczyć za siebie. — (Milczenie).

Flamm (zapalając się). Do krocset tysięcy piorunów! Czasem, to ino by człowiek pobiegł do izby myśliwskiej i palnął poprostu w łeb takiemu wszakowi. Rad by człowiek za to odpowiadał.

Pani Flamm. Nie—Krzysiu, jak ty człowieka przerażasz!

Flamm. Ja temu nie winien! Ja sam przerażony!.. Powiadam ci, matko, bo taki podlec, taka niegodziwa kanalia... to znaczy mówię, że umie nią być do tego stopnia, że takiemu człowiekowi jak ja, który zniesie nie jedno, przewracają się bebechy w ciele. W tej sprawie my się nie wyznamy. Można przeżuć wszystkie cztery fakultety, można się nałykać sznurów i kamieni, ale w czemś podobnem... w takiej niegodziwości... to po nad propedeutykę człowiek nie wylezie.

Pani Flamm. Cóż cię tak znowu wzburzyło?

Flamm (pisząc znowu). Ja tylko tak mówię w ogólności.

Pani Flamm. Myślałam, że to w związku z Streckmannem! Bo niby, Krzysiu, nie mogę się pozbyć tej sprawy, a jak ci będzie kiedy dogodniej, to chciałabym się z tobą o niej wygadać.

Flamm. Ze mną? Cóż mnie Streckmann obchodzi?

Pani Flamm. Streckmann niech sobie będzie Streckmannem, co mnie do niego! Ale stary Bernd —no—i Róża Bernd. — Widzisz, co się niby tyczy tej dziewczyny, gorzka to sprawa z nią! I gdybym nie była tak przykuta do miejsca, byłabym ją dawno już odwiedziła. Co prawda—ona ani się też zjawi.

Flamm. Ty! Różę! Cóż ty od niej chcesz?

Pani Flamm. No wiesz, Krzysiu! Bo widzisz ona, to nie pierwsza lepsza. Muszę coś z tem zrobić.

Flamm. Ano, matko, czyń, co ci się podoba, tylko nie dużo z tą dziewczyną wydołasz.

Pani Flamm. Jakto, Krzysiu? Cóż to ma niby znaczyć?

Flamm. Człowiek w cudze sprawy mieszać się nie powinien! Ma z tego same przykrości i niewdzięczności.

Pani Flamm. I cóż z tego? Przykrość trzeba znosić, a świat zawsze płaci niewdzięcznością!

A co się niby tyczy Róży, ja nie wiem, ale zawsze wydała mi się, jak gdyby była na pół mojem dzieckiem... Kiedy ojciec był jeszcze starszym leśniczym, to jej matka u nas już prała... A potem, przy grobie naszego Kurta, to dzisiaj jeszcze widzę tę dziewczynę stojącą przy nim, choć wtedy byłam więcej umarła, niż żywa. Oprócz mnie i ciebie, to nikt wtedy tak był niepocieszony jak, ona.

Flamm. Ano niech będzie. Ale cóż ty masz za zamiary? Ja sobie przytem niczego wyobrazić nie mogę!

Pani Flamm. Przedewszystkiem chcę być teraz trochę ciekawą.

Flamm. Co do czego?

Pani Flamm. Ot tak sobie—co do niczego... Nigdy ja się w twoje sprawy nie mieszam... Ale teraz... teraz, widzisz, chciałabym się nareszcie dowiedzieć, co się z tobą w ostatnich czasach dzieje?

Flamm. Ze mną? Sądzę, że mówisz o Róży Bernd!

Pani Flamm. Nie, teraz właśnie mówię o tobie.

Flamm. Możesz się o to nie troszczyć, mateczko! Moje sprawy nic cię nie obchodzą.

Pani Flamm. To ty tak mówisz! Łatwo tak mówić. Ale kiedy człowiek tak siedzi, jak ja muszę siedzieć, i widzi, jak ktoś tak jest ciągle niespokojny i nocą sypiać nie może, a cięgiem ino wzdycha, i jeśli ten ktoś jest przypadkiem moim wła-

snym mężem, to juścić trudno nie myśleć i nie zastanawiać się nad tem.

Flamm. Nie, mateczko! chybaś zupełnie zwarjowała. Chyba chcesz mnie docna ośmieszyć! Ja i wzdychać! Chyba musiał bym utracić zmysły! Cóż ty jeszcze powiesz! Ja przecież nie jestem krawczykiem!

Pani Flamm. Nie, Krzysiu! w ten sposób mi się nie wykręcisz!

Flamm. Do czego ty, mateczko, zmierzasz? Chcesz mnie zanudzić? Co? Chcesz mnie wypędzić z domu? — Czy co? — No, w takim razie, to widzi Bóg, przyznać ci trzeba, że się do tego zabierasz bardzo chytrze.

Pani Flamm. Twierdzę raz jeszcze, że się przedemną ukrywasz?

Flamm (wzdrygając ramionami). Jak sądzisz! Ja i przed tobą coś ukrywać!.. Ale gdyby tak nawet było — dajmy na to — mateczko, ty mnie znasz! Pod tym względem znasz mnie bardzo dobrze!... Cały świat może się przewrócić do góry nogami, a nikt nie wydobędzie ze mnie ani wej! tyle!... (Ruch palcami). Przykrości ma każdy człowiek dosyć na świecie! Wczoraj musiałem wyrzucić parobka, dziś puściłem z kwitkiem gorzelanego. A zresztą pominąwszy to wszystko, takie życie, jakie tu prowadzić trzeba, wystarcza naprawdę, ażeby człowieka doprowadzić do zupełnej melancholji...

Pani Flamm. Szukaj sobie towarzystwa! Jedź do miasta!

Flamm. Trafiłaś w sedno! Pod „Białym koniem“ młócić karty z koniarzami, z panem landratem chodzić na szczudłach! Uchowaj Boże! mam tych przyjemności aż potąd!... To mnie jeszcze po za próg domostwa nie wywabi! — Gdyby nie trochę tego polowania i gdyby człowiek nie miał tej pukawki. No.... to lepiej byłoby zostać pływakiem!

Pani Flamm. A widzisz! Nie mówiłam? Zmieniłeś się do gruntu! Jeszcze przed dwoma, trzema miesiącami byłeś wesół, strzelałeś i wypychałeś ptactwo, zbierałeś rośliny i ptasie jaja przez cały Boży dzień... Rozkosz była patrzeć na ciebie, a teraz jesteś nie do poznania.

Flamm. Gdyby nam był przynajmniej Kurt pozostał!

Pani Flamm. A cóżbyś na to powiedział, gdybyśmy jakie dziecko przyjęli na wychowanie?

Flamm. Co—teraz? Nie, mateczko! Teraz ja nie chcę! Dawniej tyś się nie mogła zdecydować; a dzisiaj u mnie ta chwila już przeszła.

Pani Flamm. Łatwo to powiedzieć — wziąć dziecko do siebie! Po pierwsze zdaje się człowiekowi, jak gdyby dopuszczał się jakiejś zdrady! Sama myśl—wiesz, tak ino z odległości — wydała mi się już zdradą na Kurcie. Tak mi było — jakżesz to powiedzieć, Flamm — — jak gdyby się

już całkiem chłopaczka wyrzuciło—z domu, z pokoiku, z łóżeczka, a w końcu i z serca. — A co najgłówniejsze, to skąd tak odrazu wziąć dziecko, z któregoby człowiek spodziewał się mieć pociechę.—Ale zostawmy to na razie w spokoju! Powróćmy do Róży!.. Czy też ty nie wiesz, Flamm, co się z nią dzieje?

Flamm. No tak... i owszem... dla czegóżby nie? Streckmann rzucił podejrzenie na jej życie, a tego stary Bernd ścierpieć nie może—co prawda, głupstwo zrobił, podając go do sądu. Ostatecznie koszta ponosi zawsze niewiasta.

Pani Flamm. Pisałam kilka listów do Róży i obstalowałam dziewczynę do siebie. Na prawdę, Flamm, jej położenie jest takie, że trudno z niego wyjść—ani rusz!

Flamm. Dlaczego?

Pani Flamm. Bo Streckmann jest w prawie.

Flamm (osłupiały z zdziwienia). Jakto, mateczko?.. Wyrażaj się dokładniej.

Pani Flamm. Ależ, Krzysiu! nie bądź zaraz taki porywczy! Dotychczas taiłam przed tobą, bo wiem, jak się w tych sprawach zachowujesz,—przypomnij sobie tylko tę małą służącą, jakeś to ją na łeb na szyję wygnał z domu, no i tego—furfanta, któremuś wygarbował skórę! — Dziewczyna przyznała mi się, już dawno, będzie temu z jakie dwa miesiące — i to już nie sama Róża Bernd...

wchodzi tutaj w grę jeszcze druga istota .. niby, że coś jest w drodze — — rozumiesz to, Flamm? Rozumiesz mnie? —

Flamm (z przymusem). Nie! Nie zupełnie, mateczko! Przyznam się otwarcie... Ja niby, widzisz... niby, widzisz, to... dzisiaj niby... teraz... krew mi tak czasem idzie do głowy... Ale! to okropne... to coś, jakgdyby zawrót!... Ależ tak... ale nie... Muszę zaczerpnąć powietrza.... To nic takiego, uspokój się, mateczko.

Pani Flamm (wkłada okulary). Gdzież ty się zabierasz z tą ładownicą.

Flamm. Nigdzie! A cóż ja takiego z nią robię? (Rzuca patrontasz, który mimo woli wziął do ręki). Nic człowiek nie wie! O niczem się człowiek nie dowie! I nieraz robi się człowiekowi zupełnie głupio! Człowiek czuje się nieraz całkiem obcy na świecie

Pani Flamm (podejrzliwie). Powiedz ino, Krzysiu, co to ma znaczyć?

Flamm. Nic, mateczko! Nic! Nic zupełnie! Mam już głowę całkiem swobodną! Ale czasem przychodzi na mnie takie jakieś uczucie, taki lęk, że nie wiem — jak gdyby się chwiał grunt pod nogami i jakbym na łeb na szyję miał zlecieć w przepaść.

Pani Flamm. Jakieś dziwne rzeczy mówisz... (Ktoś puka do drzwi). Któż tam puka?—Proszę wejść!

August (jeszcze niewidzialny). To ino ja, pani Flamm!

Flamm (znika w izbie myśliwskiej).

Pani Flamm. A! to pan, panie Keil! Wejdź pan, wejdź!

(**August Keil** wchodzi na scenę, bledszy i chudszy, niż dawniej, na oczach ciemne okulary. Na lewem oku ciemna przepaska).

August. Przepraszam panią leitnantową. Dzień dobry, pani leitnantowa!

Pani Flamm. Dziękuję, panie Keil!

August. Narzeczona moja ma termin w sądzie powiatowym, proszę pani leitnantowej, inaczej byłaby przyszła sama! Ale zjawi się może wieczorem.

Pani Flamm. Miło mi, że przynajmniej też pana choć raz widzę... Jakżeż się panu tam dzieje? Gadaj pan!

August. Dziwne są drogi Pańskie. A jak kogo nawiedzi, to narzekać nie wolno. Przeciwnie, cieszyć się trzeba. Widzi pani Flamm, mnie tak mniej więcej się wiedzie! Mnie z tem—i owszem! Im gorzej, tem lepiej. Tem bardziej pomnaża się skarb w wieczności.

Pani Flamm (z ciężkim oddechem). Dobrze byłoby, żebyś pan miał słuszność, panie Keil.—Czy Róża otrzymała moje listy?

August. Dała mi je nawet do czytania. I ja

też powiedziałem jej stanowczo — ale nie szło... Że niby teraz powinna pójść do pani.

Pani Flamm. Bardzo mnie to dziwi — muszę panu powiedzieć, panie Keil, że po tych wszystkich historyach nie była dotychczas u mnie! Powinna przecie wiedzieć, że to człowieka bardzo obchodzi.

August. W ostatnich czasach jest jakby zastrachana — lęka się czegoś. — I widzi pani leitnantowa, jeżeli mi wolno coś powiedzieć: nie powinna pani winować ją o to — po pierwsze miała teraz ciągle ze mną do czynienia, bom przecie potrzebował dużej opieki — zasłużyła sobie tem na nagrodę bożą, tak mnie pielęgnowała! A po tem, od kiedy ją ten człowiek tak okropnie zelżył, to nie ma nawet odwagi pokazać się za progiem.

Pani Flamm. Ja też jej nie winuję, panie Keil! Jakże jej się zresztą powodzi? Co porabia?

August. A no niby... tak... nie... co ja to chciałem powiedzieć... kiedy miała dzisiaj iść o jedenastej do sądu — to działo się coś strasznego!.. Nie, pani Flamm, można się było przerazić, tak jakoś dziwnie gadała. — Nasamprzód wogóle iść nie chciała, a potem chciała znowu, że ja niby mam iść z nią, a w końcu zniknęła jak światło, ino że krzyczała jeszcze za mną, żebym się niby nie poważył iść za nią. Czasem to płakiwała cały dzień!.. Naturalnie, człowieka nachodzą różne myśli...

Pani Flamm. Jakie myśli?

August. Th! przerozmaite!...—Po pierwsze, że mnie spotkało takie nieszczęście!... Wypowiedziała to nieraz przedemną! A to człowiekowi serce się kraje! No i co się niby tyczy ojca Bernda i że tak to sobie wziął do wnętrza.

Pani Flamm. Jesteśmy pomiędzy sobą, panie Keil... Dla czego nie mamy pogadać ze sobą otwarcie; czy panu nigdy nie przyszło do głowy—mam niby na myśli tę historyę z Streckmannem... panu, albo może i ojcu Berndowi, że niby w tem wszystkiem nie ma słowa prawdy?

August. Ja się nad tem wcale nie zastanawiam.

Pani Flamm. Bardzo słusznie! Nie przyganiam temu! Czasem to człowiek zrobi najlepiej, jeżeli jak struś skryje głowę w piasek. Ale jeżeli idzie o ojca, toby się nie godziło.

August. Tak, pani Flamm, co się niby tyczy starego Bernda, to on tak daleko jest od wszelkiej myśli, że niby tam coś by mogło być nie rychtyk... taki jest w tej sprawie pewny: dałby sobie uciąć obie ręce. On jest taki surowy, niktby temu nie dał wiary. Pan leitnant Flamm był także u niego i chciał go odwieść od skargi!

Pani Flamm (zaniepokojona). Kto był u niego?

August. Pan leitnant.

Pani Flamm. Mój mąż?

August. A jakże! Gadał z nim długo. Widzi pani, mnie chociażem stracił oko—bynajmniej o to nie chodzi, żeby Streckmann był ukarany! Przy mnie jest sąd, mówi Pan! Ale ojciec ułagodzić się nieda, powiada: żądajcie odemnie wszystkiego, a ino tego nie!

Pani Flamm. Mąż mój był u starego Bernda?

August. Tak, wtedy, gdy miał dostać wezwanie.

Pani Flamm. Cóż to było za wezwanie?

August. Przed sędzię—do śledztwa.

Pani Flamm (jeszcze niespokojniej). Stary Bernd?

August. Pan leitnant Flamm.

Pani Flamm. Tak, to i mąż mój także był przesłuchiwany. A cóż on ma z tem do czynienia?

August. Także był przesłuchiwany, tak jest!

Pani Flamm (pod wielkiem wrażeniem). Tak!?.. To dla mnie zupełnie coś nowego! Nic o tem nie wiedziałam! I Krzyś był u starego Bernda?—Gdzie jest moja Odekolonje!... Nie, August, idź pan teraz do domu... jest mi trochę — — ja nie wiem, jak!.. Jakiejś szczególniejszej rady dać panu nie mogę. Coś mi weszło w kości! Idź pan do domu i przeczekaj pan wszystko. Ale jeżeli pan kochasz dziewczynę... no, spójrz pan na mnie, ja mogłabym w tej materyi powiedzieć niejedno: czy to jest mężczyzna, za którym dziewki się gonią, czy to dziewka będzie, za którą mężczyźni drą się jak

obłąkani—to nie ma ratunku: trzeba cierpieć! cierpieć! trzeba być cierpliwym! Ja dwanaście lat tak żyłam! (Przysłania sobie oczy ręką i patrzy przez palce). A jeśli wogóle cośkolwiek widzieć pragnęłam, to musiałam patrzeć przez palce.

August. Nie mogę w to uwierzyć, pani Flamm!

Pani Flamm. Czy w to uwierzysz, czy nie, oto się życie nie pyta. Ze mną tak jest, jak z panem; i ja tego pojąć nie mogę; trzeba usiłować dojść jakoś z tem do ładu... Dałam Róży przyrzeczenie! Nieraz człowiekowi łatwo przyrzekać, ale dotrzymać trudno!... No, co tylko będzie w moich siłach! — Adju! — Trudno tego od pana wymagać.... Tu jest potrzebne miłesierdzie boże...

August (chwyta wzruszony rękę pani Flamm i oddala się w milczeniu).

Pani Flamm (przechyla głowę na fotel, spogląda zadumana w niebo, dwukrotnie głęboko oddycha).

Flamm (wchodzi bardzo blady, rzuca ukosem spojrzenia na panią Flamm i zaczyna gwizdać po cichu, otwiera przytem szafę z książkami i niby to w niej czegoś szuka).

Pani Flamm. Tak! tak! ty na wszystko gwiżdżesz, Flamm! A—tego bym się przecież po tobie nie spodziewała.

Flamm (odwraca się, milczy, spogląda jej prosto w oczy, podnosi nieco obie ręce do góry, a ramiona wysoko, potem opuszcza jedno i drugie, i już bez zakłopotania, więcej w zadumie, aniżeli zawstydzony, patrzy w ziemię).

Pani Flamm. Wy mężczyźni nie bierzecie sobie tego zbytnio do serca. — — Cóż teraz będzie?...

Flamm (z ruchem, jak wyżej, tylko słabszym). Nie wiem... Będę teraz zupełnie spokojny. Opowiem, jak do tego doszło. — Może sądzić mnie będziesz nieco łagodniej. Jeżeli nie — — ha, w takim razie bardzo mi żal siebie...

Pani Flamm. Takiej lekkomyślności łagodnie sądzić nie można.

Flamm. Lekkomyślności? To nie była chyba sama tylko lekkomyślność! Ale co wolisz, matka, lekkomyślność, czy żeby to było czemś poważniejszem? —

Pani Flamm. Tak zepsuć tej dziewczynie przyszłość, kiedy my... kiedy ma się odpowiedzialność za to!... kiedy się ją tak ciągnęło w dom... kiedy ona miała tak ślepe zaufanie!.. Nie! Nie! to się można zapaść w ziemię!.. Jakby człowiek po prostu godził na to...

Flamm. Skończyłaś, matka?

Pani Flamm. Daleko jeszcze do tego.

Flamm. Ano, mogę jeszcze trochę poczekać.

Pani Flamm. Krzysiu, cóż to ja ci wtedy powiedziałam, kiedyś się oświadczył i chciałeś się żenić ze mną?

Flamm. Co?

Pani Flamm. Jestem dla ciebie za stara. Ko-

bieta może szesnaście lat być młodsza, ale nie trzy albo cztery lata starsza. Trzeba mnie było wówczas posłuchać!

Flamm. Zda się to na co wszczynać takie dawne sprawy? Nie mamy teraz nic ważniejszego do roboty? Zdaje mi się, matka, że mnie tu już nic poradzić nie można... — Co się właściwie z Różą dzieje, o tem nie mam do dziś dnia żadnego pojęcia. Gdybym miał, to postąpiłbym przecież inaczej... Teraz trzeba uważać, czy nieda się co naprawić. I właśnie dla tego powodu chciałbym cię prosić, ażebyś nie była małostkową, i chciałbym nasamprzód uczynić próbę, czy zdobędziesz się na zrozumienie tej sprawy. Dopóki... ino mówiono, że z Różą ma się ożenić ten pobożny oprawiacz, dopóty było wszystko w porządku.. Ale kiedy już była pewność, tak się wszystko skończyło... Być może, pojęcia moje mieszają się... Patrzałem na dziewczynę tę od jej dzieciństwa... było w tem coś z miłości do Kurta. Z początku chciałem ją tylko powstrzymać od nieszczęścia, a w końcu, tak nagle, jak to się dzieje... Plato już o tem słusznie napisał — o tych dwóch koniach czytamy w Fedrusie: Uniosło mnie to niepoczciwe szkapsko i zerwały się wszystkie tamy!

(Dłuższe milczenie).

Pani Flamm. Bardzo ładne opowiedziałeś historye — przeplatałeś je nawet uczonością — we-

dług was to wy zawsze jesteście w prawie. O ile możności, toś ją zapewne nawet uszczęśliwił, a sameś się poświęcał... Dla takich rzeczy nie ma uniewinnienia.

Flamm. A więc dobrze, odroczmy to, matka! Ale przypomnij sobie, że gdy umarł nasz Kurt, to na dziewczynę tę w naszym domu patrzeć już nie mogłem. Któż to ją zatrzymywał, kto ją przynęcał?

Pani Flamm. Dlatego, żeby nie było naokoło nas zanadto, jak w grobie! Mnie ona była niepotrzebna.

Flamm. A ja nic nie mówiłem ze względu na ciebie.

Pani Flamm. Szkoda każdej łzy, którąby się miała dla was wylać. Takie gadanie zachowaj dla siebie, Flamm.

(Pokojówka wnosi kawę).

Pokojówka. Róża Bernd jest w kuchni.

Pani Flamm. Chodź tu, dziewczyno! Posuń mnie! Chwytaj! (do Flamma). Możesz pomódz usunąć mnie na bok. Znajdzie się przecież dla mnie jakaś komórka. Nie myślę być w drodze nikomu! Potem możesz ją zawołać.

Flamm (do pokojówki, nerwowo). Dziewczyna ma poczekać chwilę!

(Pokojówka odchodzi).

Flamm. Matka, ty z nią musisz pogadać słówko! Ja nie mogę! Ja mam ręce związane!

Pani Flamm. Cóż ja mam z nią gadać, Flamm?

Flamm. Ty, matka, lepiej wiesz odemnie. Ty wiesz sama... samaś to mówiła... tylko na Boga nie bądź teraz nielitościwą!... Tak ona od progu odejść nie może!

Pani Flamm. Trzewików czyścić jej nie mogę, Flamm!

Flamm. Nie potrzebujesz! O tem nie ma mowy, ale tyś ją tutaj przyzwała. Przecież tak odrazu zmienić się nie możesz, abyś miała zbyć się wszelkiego miłosierdzia i wszelakiej litości. Cóżeś ty przedtem mówiła do mnie? — W ten sposób dziewczyna zniszczeje! A gdyby ta dziewczyna zniszczała — chyba nie uważasz mnie za taką kanalię, żebym miał jeszcze pozostać przy życiu. Albo — albo, nie zapominaj o tem!

Pani Flamm. No, Krzysiu!... Nie zasłużyliście na to, ale tak naprawdę, to cóż ma człowiek robić?! Serce się człowiekowi krwawi! To nasza własna wina! Pocóż człowiek ma się wciąż łudzić, kiedy już dość jest leciwy i rozumny, a właściwego jądra rzeczy wyłuszczyć nie może! I pod tym względem, Krzysiu, nie łudź się.. i owszem! Niech i tak będzie! Pomówię z nią! Nie ze względu na ciebie, ale po słuszności. Ino sobie nie wyobrażaj, że mogę naprawiać, że mogę odbudować, coś ty zawinił i zburzył... Wy mężczyźni jesteście niby te dzieci...

Pokojówka. Nie chce już czekać.

Pani Flamm. Przyślij mi ją!

(Pokojówka odchodzi)

Flamm. Bądź rozsądną, matka! słowo honoru...

Pani Flamm. Nie dawaj go, to go i nie złamiesz.

(Flamm odchodzi).

(Pani Flamm wzdycha, bierze robótkę napowrót do rąk. Potem wchodzi Róża Bernd).

Róża Bernd (w stroju świątecznym, o rysach zapadłych, z chorobliwie rozpalonemi oczami). Dzień dobry pani.

Pani Flamm. Siadaj! dzień dobry! Wezwałam cię, Różo!... Pewnie jeszcze pamiętasz, cośmy ze sobą mówiły. Od tego czasu zmieniło się chyba niejedno!... Pod wielu względami — niewątpliwie!... I właśnie dlatego chciałam z tobą pomówić. Powiedziałaś, co prawda, że ci dopomódz nie mogę, że sama chciałabyś to wszystko przebyć i przewalczyć! Dzisiaj niejedno mi się wyjaśniło! Twoje dziwne zachowanie wtedy i że niby odemnie żadnej pomocy mieć nie chciałaś... Ale jak ty sama masz sobie poradzić, tego jeszcze nie widzę. Chodź, wypij ze mną filiżankę kawy. (Róża siada w pobliżu stolika). Był tu właśnie August u mnie! Gdybym ja była tak, jak ty, dziewczyno, byłabym się już dawno odważyła i powiedziała prawdę. (Ostro patrząc

jej w oczy). Teraz już mi ci nawet tego radzić nie wolno. Nie mam racyi?

Róża. Ach, dlaczego, proszę pani!?

Pani Flamm. To prawda! Im bardziej się człowiek starzeje, tem mniej pojmuje ludzi! Wszyscy w jeden i ten sam sposób przyszli na tę ziemię, ale o tem to juści mówić nie wolno! — To, dzięki czemu tutaj wszyscy żyją na świecie, od cesarza począwszy i arcybiskupa, a skończywszy aż het na forysicu, to juści ludzie to zohydzają bez miary i upamiętania. A gdzie ino bocian zjawi się nad kominem, tam zamieszanie jest olbrzymie. Rozbiegają się wszyscy, gdzie ino mogą. Taki gość nie przychodzi nigdy w porę.

Róża. Ach, proszę pani, to wszystko już dawno byłoby załatwione, gdyby nie taki zbrodniarz i łotr... gdyby nie taki kłamca, jak Streckmann...

Pani Flamm. Nie, dziewczyno! Nie rozumiem ciebie. Jakże ty mi możesz powiedzieć, że ten człowiek kłamie? Przecież to już całkiem widać po tobie — już na zewnątrz...

Róża. On kłamie! kłamie!... Inaczej tego powiedzieć nie mogę.

Pani Flamm. A pod jakim względem on kłamie?

Róża. Pod każdym względem i na każdy sposób!

Pani Flamm. Zdaje mi się, że odbiegasz od

rzeczy. Kogóż ty masz przed sobą? Zastanów się tylko!... Najprzód toś mi zeznała wszystko, a oprócz tego, ja teraz więcej wiem, niż to jedno, wiem i to, o czemś przedemną zamilczała.

Róża (dostaje zimnych dreszczy; uparcie): A choćby mnie pani zabiła, to ja więcej nic nie wiem.

Pani Flamm. Tak?! — Ach! — Takie to teraz wykręty?! Pod tym względem byłabym ci radziła inaczej... Nie spodziewałam się tego! Mam nadzieję, żeś w sądzie odpowiadała nieco wyraźniej...

Róża. Powiedziałam to samo.

Pani Flamm. Dziewczyno! przyjdź-że do rozumu! Gadasz tutaj same głupstwa: sędziego tak się przecież nie oszukuje! Słuchaj ino, co ci powiem! Napij się trochę kawy! nie potrzebujesz się tak zaraz przerażać! Nikt cię nie prześladuje i ja cię pożreć nie myślę! Co prawda, toś sobie ze mną postąpiła nie najlepiej, tego nikt tutaj twierdzić nie może! — Gdybyś była mi wtedy przynajmniej powiedziała prawdę, może byłoby się dało wynaleźć jakie wyjście; dzisiaj to bardzo jest trudno. Ale mimo to próżnować nie będziemy, trzeba zaraz dzisiaj zacząć szukać ratunku!... Może się go w jaki sposób znajdzie... A zatem — co już najgłówniejsze — co już pewne — i ty możesz na tem polegać zupełnie — to niby, że niedostatku tutaj cierpieć nie będziesz! Choćby nawet ojciec miał cofnąć

swą rękę, a August pójść sobie swoją drogą! O ciebie i o dziecko starać się już będziemy.

Róża. Ja nie wiem, co pani ma na myśli.

Pani Flamm. Otóż, dziewczyno, powiem ci prosto z mostu: jeżeli tego nie wiesz, jeżeliś o tem zapomniała, to, mówiąc krótko a węzłowato, złego jesteś sumienia. Widać, że masz jeszcze i co innego! A jeżeli masz jeszcze jakąś tajemnicę, to nie będzie nic innego, ino że tu jest coś ze Streckmanem. To ten łotr cię unieszczęśliwił.

Róża (gwałtownie). Nie! jak pani może coś podobnego myśleć... To pani mówi... Nie! na Boga!... czyż ja to sobie zasłużyła na to, żeby mnie tak pani!... Gdyby to był mój ten mały Kurt... to moje ukochane dziecko...

(Histerycznie załamuje ręce przed fotografią chłopca).

Pani Flamm. Różo! tylko daj spokój... proszę cię!... Może być, że masz względem mnie jakieś zasługi... Ale o to się teraz nie spieramy!... Takeś się zmieniła... ani nawet to się pojąć nie da, jakeś się teraz zmieniła.

Róża. Czemu matusia nie zabrała mnie do siebie! „Przyjdę — mówiła — po ciebie, jak umrę".

Pani Flamm. Przyjdź do rozumu, dziewczyno! przecież jesteś żywa. Co się z tobą dzieje?

Róża. Nic się ze mną i Streckmannem nie działo! Ten szubrawiec kłamał!

Pani Flamm. Co kłamał? Może i zaprzysiągł?

Róża. Czy on przysięga czy nie, to mi jest wszystko jedno.

Pani Flamm. A ty, musiałaś przysięgać?

Róża. Nie wiem — — Nie jest się przecie złym człowiekiem! Gdyby nie tak, popełniłoby się zbrodnię!... Że August stracił oko, temu nikt... temu ja nie jestem winowata... człowiek nie ma spokoju przez to ani w dzień ani nocą... Jakie on przechodził męczarnie!... Gdyby nie tak, możnaby mi napluć w twarz... Człowiek rękę swoją trzyma bezustannie w gorącości, chciałby bezustannie ratować coś z ognia... wszystkie kości człowiekowi łamią...

(Flamm wchodzi wzburzony).

Flamm. Któż ci łamie kości? Spojrzyj matce w oczy! Przeciwnie, chcemy cię ratować!

Róża. To już zapóźno! To się już nie uda — przenigdy!

Flamm. Cóż to ma znaczyć?

Róża. Nic! — Czekać już dłużej nie mogę... Adju... Pójdę swoją drogą!

Flamm. Zostać!.. Ani się ruszyć z miejsca!... Słyszałem za drzwiami wszystko i teraz chcę wiedzieć całą prawdę!

Róża. Mówię przecie prawdę!

Flamm. Prawdę co do Streckmanna!

Róża. Między nami nic nie było!... on kłamie!

Flamm. A czy on mówi, że było co między wami?

Róża. Ja nic więcej nie mówię, ino to, że on kłamie!

Flamm. A czy to kłamstwo poprzysiągł?

(Róża milczy).

Flamm (Patrzy długo i ostro na Różę, potem). A teraz, matka, nie winuj mnie o wszystko, przebacz mi tylko, co przebaczyć możesz!... Wiem tyle, że ta sprawa już mnie nic a nic nie obchodzi! Śmieję się z tego! Kicham na to!...

Pani Flamm (do Róży). Czyś wszystkiemu wręcz zaprzeczyła?

Róża. — — —

Flamm. Powiedziałem, naturalnie, prawdę. A Streckmann w takich momentach nie kłamie! Za krzywoprzysięstwo jest cuchtaus, to się nie kłamie!

Pani Flamm. Dziewczyno, nie powiedziałaś prawdy?... Czyś może kłamała pod przysięgą? Czy nie masz pojęcia, coś przez to uczyniła i jakeś zawiniła? — Jakżeż ci mogło coś podobnego przyjść do głowy? Taka myśl bezsensowna?

Róża (złamana, z krzykiem). Wstydziłam się!

Pani Flamm. Ależ, Różo...

Flamm. Szkoda każdego słowa! Dlaczego okłamałaś sędziego?

Róża. Wstydziłam się! Wstydziłam się!

Flamm. A mnie? A matki? A Augusta? Dlaczego oszukiwałaś nas wszystkich. A prawdopodobnie w końcu i Streckmanna! I z kim jeszcze się

zadajesz?... Tak, tak, w twarzy twojej szczerość i prawość, a jednak słusznie się wstydziłaś!

Róża. Prześladował mnie, ścigał jak pies.

Flamm (śmiejąc się). I co jeszcze! Wy kobiety robicie z nas psów... Dzisiaj ten, a jutro tamten, to gorzko!... Róbcie teraz, co wam się podoba, czyńcie, co chcecie!... Jeżelibym miał jeszcze palcem ruszyć w tej sprawie, to lepiej sobie poszukam stryczka i tak się nim przetrzepię po oślich uszach, że aż mi ręka zginie przed oczami!

(Róża patrzy przerażonem okiem na Flamma).

Pani Flamm. Zostaję przy tem, Różo, com ci powiedziała. Staranie będzie o was obojga.

Róża (jak wyżej, szepcząc mechanicznie). Wstydziłam się! — Wstydziłam się!

Pani Flamm. Słyszysz, Różo?

(Róża znika).

Pani Flamm. Różo!... Uciekła... Prosićby anioła w niebie...

Flamm (wzruszony do głębi, wybuchuje tłumionem łkaniem). Boże mi przebacz, matka!... Ja nie mogę inaczej.

AKT V.

Izba w domku starego Bernda, dosyć obszerna, z szaremi ścianami i starym bielonym sufitem z belek Jedne drzwi, w głębi sieni, prowadzą do kuchni, drugie, po lewej stronie, do sieni, po prawej dwa okienka. Pomiędzy temi okienkami stoi żółta komoda, na niej zapalona lampka naftowa, ponad nią na ścianie, wisi zwierciadło. W rogu, po lewej piec chłopski. W rogu po prawej, sofka ceratowa, stół, okryty obrusem, nad stołem lampa wisząca. Ponad sofą, na ścianie, obraz biblijny »Pozwólcie dzieteczkom zbliżyć się do mnie«, poniżej fotografie Bernda z czasów jego służby wojskowej i kilka innych, przedstawiających go razem z żoną. Z przodu po lewej szafa oszklona, zastawiona malowanemi filiżankami, szkłem i t. p. Na stole krucyfiks. Na komodzie stara biblia, ponad drzwiami, prowadzącemi do sieni, wisi oleodruk »Chrystus w cierniowej koronie". Na podłodze leżą płaty do czyszczenia. W oknach firanki z muślinu. Cztery czy pięć żółtych zydlów drewnianych, każdy na swojem miejscu. Wszystko to wywiera wrażenie czystości i ładu. Na sofie kilka biblij i śpiewników. W futrynie drzwi sieni wisi puszka na składki. Jest około godziny siódmej wieczorem tego samego dnia, w którym rozegrały się wypadki aktu czwartego. Drzwi do sieni otwarte, taksamo drzwi, prowadzące do kuchni. Głęboki mrok. Z poza domu słychać głosy, poczem ktoś puka do okna, a następnie ktoś mówi przez okno):

Bernd, czy tam nie ma nikogo w izbie? Zajdziemy tam, z tyłu!

(Nastaje cisza, a po chwili otwierają się drzwi w głębi sceny, słychać głosy i kroki w sieni. W drzwiach ukazują się Kleinert i Róża Bernd, podpierana przez Kleinerta.

Róża (osłabiona, z wysiłkiem). Nie ma nikogo w domu! ciemno wszędzie.

Kleinert. Nie mogę cię tak zostawić samej!

Róża. Dlaczego nie, Kleinert!? Nic mi przecie nie jest!

Kleinert. Niech w to uwierzy kto inny, że ci nic nie jest. Gdyby tak było, tobym cię przecie nie zostawiał.

Róża. Nie — ino mi się trochę zakręciło w głowie. No — doprawdy! — Idźcie! — Już mi was nie potrzeba!

Kleinert. Nie, nie, dziewucho! to tak nie idzie!

Róża. Tak, tak, ojcze Kleinert! Dziękuję — teraz już dobrze! Nic mi już nie jest! Przyszłam już całkiem do siebie! Tak się to czasem wydarzy, ale to nic takiego!

Kleinert. Leżałaś przecie na pół umarła, tam, za wierzbą! Wiłaś się, jak robak!

Róża. Kleinert, idźcie sobie, idźcie!... Zaraz zaświecę! Muszę rozpalić ogień... idźcie sobie! Przyjdę zaraz na wieczerzę!... Ach nie, Kleinert; Kleinert, taka jestem zmęczona! Okropnie zmęczona, że niktby nie uwierzył!

Kleinert. I chce ci się jeszcze rozpalać ogień? To nie dla ciebie! Powinnaś się położyć do łóżka.

Róża. Idźcie sobie, Kleinert, idźcie! Gdy ojciec... gdy August... nie, oni nie powinni wiedzieć o niczem! Zróbcie mi tę łaskę... nie czyńcie mi tego!...

Kleinert. A czy ja ci chcę uczynić co złego?

Róża. Nie, nie... ja wiem! Wyście byli zawsze dobry dla mnie! (Podniosła się z krzesła po prawej, przy drzwiach, na które upadła, wyciągnęła świecę z za pieca i zapaliła). .. Teraz mi już znowu dobrze... Nic mi już nie jest! Możecie być zupełnie spokojny.

Kleinert. Tak sobie mówisz!

Róża. Bo tak jest naprawdę.

(Martusia wraca z pola, bosa, z gołemi ramionami).

Róża. Jest i Martusia!

Martusia. To ty, Róziu? — Gdzieś ty przez cały dzień była?

Róża. Śniło mi się, żem była w sądzie.

Kleinert. Nie, nie, ona była naprawdę w sądzie! Uważaj trochę na siostrę, Marta, przynajmniej tak długo, dopóki ojciec nie wróci; coś się z tą dziewczyną stało...

Róża. Krzątaj się, Marta! Rozpal ogień! Trzeba prędko nastawić kartofle... Gdzie ojciec?

Martusia. Na polu Augusta.

Róża. A gdzie August?

Martusia. Tego ja nie wiem; dzisiaj go w polu nie było.

Róża. Masz młode kartofle?

Martusia. Chyba sobie żartujesz! (Wysypuje kartofle na ziemię, tuż poza wejściem do kuchni).

Róża. Przynieś miskę i garnek, zacznę zaraz obierać. Sama przynieść nie mogę.

Kleinert. Czy może mam co gdzie załatwić?

Róża. A gdzieżby?... Może u grabarza?... Nie, nie! Ojcze chrzestny, co do mnie, to nie!... Ja pójdę na osobne miejsce...

Kleinert. Kiedy tak, to z Panem Bogiem! Adje.

Róża. Idźcie z Bogiem! Adje!

Martusia (wesoło). A przyjdźcie znowu kiedy, chrzestny ojcze!

(Kleinert jak zwykle z fajką w gębie, potrząsa głową i odchodzi).

Martusia (rozniecając ogień). Róziu, czy ci nie dobrze?

Róża. O, nie! mnie jest bardzo dobrze! (Po cichu, załamując ręce przed krucyfiksem). Jezusie, Maryo! Zlitujcie się też nademną!

Martusia. Róziu!

Róża. Cóż takiego?

Martusia. Co się z tobą dzieje!

Róża. Nic! Przynieś mi garnek i kartofle!

Martusia (roznieciła ogień i przychodzi teraz z glinianą miską, napełnioną kartoflami, na misce leży także i nóż). Ach! nie, Róziu! Ja się boję! jakże ty wyglądasz!

Róża. A jakżeż ja wyglądam? powiedz?

Jakżeż? co?... Cóż mi to się stało w te ręce? A te oczy? — czy mi je kto wypalił, czy co?... Wszystko tak mi ino miga w tych oczach, jakby jakie widma... (Śmieje się nie samowicie). Nie, Jezusie! Teraz już nie widzę twojej twarzy! Teraz widzę jedną rękę! Teraz widzę dwoje oczu! Teraz jakieś kropki... Marta! mnie się widzi, że oślepnę!

Martusia. Rózieczko, co się tobie stało?

Róża. Niech cię też Pan Bóg broni przed tem, co mnie się stało!.. Niechby cię raczej rychła śmierć spotkała! Bo juścić powiadają, że jak kto rychło umiera, to ma swój spokój. Nie potrzebuje żyć i chwytać tchu. — Jakżeż to ino było z tym małym Kurtem Flammem? — Ja nie wiem!... W głowie mi się kręci!... Zapomniałam! zapomniałam o wszystkiem... Życie jest ciężkie!.. Gdyby to już tak zostało na zawsze!.., Gdyby to się człowiek nigdy już nie rodził.... Bo i na co to wszystko tak się plącze po świecie!?

Martusia (lękliwie). Żeby też ojciec wrócił!...

Róża. Marta, chodź do mnie! Nie powiesz, żem tu była... że tu jestem... wszak prawda, Marto, nie powiesz... obiecujesz mi?! Zrobiłam niejedno dla ciebie — nieprawda, Marto?... Chybaś o tem nie zapomniała... chociaż dzisiaj... naokoło mnie tak ciemno.

Martusia. Dać ci trochę kawy? Stoi jeszcze garnuszek — o tutaj! Ja się tak boję, Róziu!...

Róża. Nie bój się niczego! Pójdę na chwilę

do komory... Pójdę się trochę położyć! Zresztą jestem zupełnie zdrowa — zresztą nic mi tak dalece nie jest!...

Martusia. Nie mam nic mówić ojcu?

Róża. Ani słóweczka!

Martusia. I Augustowi także nie?

Róża. Ani jednem słowem!... Nie znałaś matki, dziewczyno i ja cię wychowałam w wielkich bólach. — Niejedną przebyłam noc w trosce o ciebie, w ciężkiej chorobie. Nie miałam ani tyle lat, co ty, a małom się tobą nie podźwigała, mało nie pokrzywiłam sobie krzyży przez ciebie — nie schodziłaś mi z ramienia! Jak mnie teraz zdradzisz, to będzie koniec z nami — na zawsze.

Martusia. Różieczko, przecie to nie będzie nic złego?... Nic szkodliwego, jeżeli?...

Róża. Nie wierzę w to! Chodź, Martusio!... schwyć mnie... podeprzyj mnie trochę!... Człowiek za bardzo jest opuszczony na świecie!... Człowiek za bardzo jest tutaj samotny!... Żeby to człowiek nie był tak samotny!... Człowiek za bardzo jest tutaj samotny — na ziemi!

(Róża i Martusia wychodzą drzwiami do sieni. W izbie przez kilka sekund niema nikogo, potem zjawia się w kuchni stary Bernd, stawia na ziemi koszyk i łopatę i z twarzą spoważniałą rozgląda się badawczo wokoło. Tymczasem drzwiami do sieni zjawia się znowu Martusia).

Martusia. Czy to wy, ojcze?

Bernd. A cóż to? Nie ma gorącej wody? Wiesz przecie, że muszę sobie wymyć nogę... Róży tu niema?

Martusia. Jeszcze niema, ojcze!

Bernd. Co! Nie wróciła jeszcze z sądu? To być nie może, zaraz wybije ósma... Augusta tu nie bylo?

Martusia. Nie jeszcze.

Bernd. O, jeszcze nie! Ano, w takim razie może jest u Augusta. Widziałaś tę wielką chmurę, Martusiu? — Tak koło szóstej, od strony wirchu?

Martusia. Tak, ojcze. Zrobiło się całkiem ciemno.

Bernd. Zrobi się jeszcze ciemniej! Zapal ino mi lampę na stole i przygotuj mi pismo święte. Najgłówniejsza rzecz: zawsze być w pogotowiu. Martusiu, a czy ty się też zastanawiasz nad życiem wiecznem?... Mało jest ludzi, coby o tem myśleli. O, widzisz, kiedym wracał nad wodą, do domu, słyszałem za sobą, jak mnie ktoś lżył... A kiedyż ja to byłem zdziercą skóry ludzkiej? Bo, widzisz, wrzeszczał ktoś i krzyczał: ździerco ludzkiej skóry! Spełniałem tylko swój obowiązek. Ruda Kora jeszczeć żyje! Dawać się przekupywać! A jakże! Zamykać oba oczy!... Spokojnie patrzeć na to, jak oszukują!... Dużom się ja nacierpiał przez ludzi!... Trzymam się Pana Jezusa!... Wszyscy my ludzie potrzebujemy tej podpory!... Spełniać dobre uczynki,

o resztę się nie troszczyć! Gdyby Róża była o tem myślała trochę więcej, nie nawiedziłoby nas może tyle ciężkości, tyle goryczy... (Żandarm zjawia się we drzwiach). Ktoś tam przyszedł!

Żandarm. Mam wezwanie, chciałbym pogadać z waszą córką?

Bernd. Z moją najstarszą?

Żandarm (czyta). Do Róży Bernd.

Bernd. Moja córka nie wróciła jeszcze ze sądu. A czy ja nie mogę oddać listu?

Żandarm. Nie!... Muszę osobiście ją wybadać. Przyjdę jutro około ósmej.

(August zjawia się w pospiechu).

Bernd. Jest i August.

August. Róży tu niema?

Bernd. Nie. — Pan wachmistrz także się o nią rozpytuje, myślałem, że jesteście razem.

Żandarm. Muszę wybadać ją co do jednej sprawy, a mam i wezwanie do niej.

August. Wiecznie te historye z Streckmannem. Nie dosyć na tem, że człowiek stracił oko, jeszcze te ciągłe krętaniny. Wybacz, Panie Boże, ale to się, widać, nie skończy!

Żandarm. Dobry wieczór! Jutro rano o ósmej.

(Wychodzi).

August. Martusia, idź sobie teraz do kuchni. Ojcze, mam z wami coś do pogadania... Idź, Mar-

tusia, idź, zamknij drzwi za sobą... Martusia, nie zauważyłaś czego u Rózi?

Martusia. Nie, niczego! (Daje mu ukradkiem znak palcem). August, coś ci powiem.

August. Zamknij drzwi, dziewucho, nie mam czasu. (Zamyka sam drzwi od kuchni). Ojcze, musicie cofnąć skargę.

Bernd. Zrobię wszystko, ale tego nie mogę,

August. To nie po chrześciańsku. Musicie cofnąć.

Bernd. Nie zdaje mi się, żeby to nie było po chrześcijańsku! — Bo i dlaczego?... To jest szkaradzieństwo, dziewczynie odbierać honor. To już zbrodnia, zasługująca na karę.

August. Od czego ja to mam zacząć... Ojcze Bernd... byliście w tem za popędliwy...

Bernd. Należało się to mojej żonie, która spoczywa w grobie. O, to się należało mojej czci! Czci mojego domu i czci mojej dziewuchy. A wreszcie i twój honor także się tego domagał.

August. Ojcze Bernd, ojcze Bernd! Co ja mam zrobić, kiedyście tak nieprzejednany! Mówiliście o tylu czciach i honorach! A jednak człowiek nie powinien szukać żadnej czci, a ino czci Boga — niczego więcej!

Bernd. W tej sprawie to rzecz inna. Tutaj cześć niewiasty jest czcią Boga. Albo czy się możesz uskarżać na Różę?

August. Powiedziałem ci, że się nie uskarżam.

Bernd. Albo czy masz jej co do zarzucenia?

August. Jeżeli już o to idzie, to chyba mnie znacie, ojcze Bernd? Czym kiedy choć na kąsek zeszedł z swojej drogi?...

Bernd. Ano więc... Ja wiem o tem! Ja o tem wiedziałem! Tedy niech się wypełni sprawiedliwość.

August (pot ścierając z czoła). Żeby też wiedzieć, gdzie Róża.

Bernd. Kto wie, czy wróciła już z miasta!?

August. Takie przesłuchy długo nie trwają. Powinna była wrócić o piątej.

Bernd. Robiła pewnie zakupna... Miała przecie jeszcze to i owo kupić... Myślę, że brak wam jeszcze tego i owego.

August. Nie wzięła z sobą pieniędzy. A to, cośmy potrzebowali jeszcze do sklepu: po materyę w okno wystawne i przede drzwi wchodowe — po to wszystko mieliśmy iść razem.

Bernd. Myślałem, że poszła z tobą.

August. Wyszedłem z jaką milę naprzeciwko, ale o niej ani słychu. Za to spotkałem się z Streckmannem.

Bernd. Ja to nazywam: spotkać się z czartem przeklętym!

August. Ach, ojcze! człowiek ten ma żonę i dzieci. Cóż one mają odpowiadać za jego grzechy! Cóż mnie z tego przyjdzie, że będzie musiał

siedzieć! Jeżeli człowiek uczuje skruchę... niczego więcej nie pragnę.

Bernd. Taki łotr i skrucha! O rety!

August. A jednak na to wyglądało.

Bernd. Mówiłeś z nim?

August. Nie dał mi spokoju — nie popuścił. Biegł koło mnie i wciąż mnie przekonywał. Jak długo i szeroko, nie było ani jednej żywej duszy wkoło — wiecie, na szosie! Wkońcu żal mi się go zrobiło. Nie mogłem inaczej.

Bernd. I takeś mu odpowiedział?... Cóż on mówił?

August. Mówił, żebyście cofnęli skargę.

Bernd. Juści mnie to nie zbawi! Nicby w tem nie było, gdyby to mnie spotkało! Jabym to zniósł! Śmiałbym się z tego! Przecie jestem mężczyzną — do tego chrześcijaninem! Ale kiej idzie o dziecko, to inna jest rzecz! Jakżeż jabym ci spojrzał w oczy, gdybym to na niej tak zostawił?! I to jeszcze teraz, po tem strasznem nieszczęściu! Widzisz, August, tak być nie może, tak być nie powinno! — Następowali nam wszyscy na pięty, bośmy żyli inaczej, aniżeli inni ludzie! Nazywali nas wszyscy świętoszkami i obłudnikami, pokornisiami i Bóg wie, jak! I zawsze przypięli nam jakąś łatkę! Coby to był dla nich za żer!... A zresztą... dziewczyna tak już jest chowana: w bojaźni Bożej, pracowitości, tak, że kiej się z nią ożeni chrześcijański człek, to

juścić może urządzić sobie i dom chrześcijański! Tak, widzisz, ma się sprawa! Tak ci ją wydaję z ręki!... I miałżebym zostawić na niej tę truciznę? Wolałbym raczej żywić się kartoflami ze solą, aniżeli choć jeden grosz przyjąć od ciebie.

August. Ojcze Bernd, niezbadane są drogi Pańskie! Wolno-ć Bogu naszemu zsyłać na nas codzienne doświadczenia, a nie wolno jest człowiekowi dufać w swoją sprawiedliwość! — A choćbym już i chciał, to już nie wydołam! Nie mogę wam już tego oszczędzić, ojcze! Nasza Róża była także ino człowiekiem.

Bernd. Co masz na myśli, August?

August. Przestańcie się pytać, ojcze!

Bernd (usiadł obok stołu na krześle w ten sposób, że twarz ma odwróconą do ściany. Na ostatnie słowa Augusta patrzy na niego głęboko rozwartemi, zdziwionemi oczami, poczem zwraca się ku stołowi i drżącemi rękoma bierze biblię i niespokojnie przerzuca jej kartki. Na chwilę przestaje i znów patrzy badawczo na Augusta. W końcu załamuje ręce, zwiesza głowę nad książką, przyczem ciało jego kilkakrotnie drga konwulsyjnie. Zostaje chwilę w tej pozycyi, potem znowu się podnosi do góry). Ale nie! Źle cię zrozumiałem! Bo, widzisz, jeślim cię dobrze zrozumiał... nie, toby naprawdę... tobym nie wiedział... cała izba kręci mi się w głowie... nie, musiałbym być ślepy — tak ślepy i głuchy musiałbym być... Nie, August! Ślepy i głuchy przecie nie jestem! Ino z Streckmannem daj mi spokój. Teraz dla Streckmanna każdy środek jest dobry!

Dostał się w pułapkę... Tak się to dzieje na świecie... teraz chciałby się w jakikolwiek sposób z niej wykręcić, wyszwindlować! I dlatego podburza cię przeciwko dziewczynie. — Nie, August, nie!... Na tę kładkę nie!... Na tę kładkę nie właź... Jak tu zaraz widać podłość!... Dosyć naprześladował się tej dziewczyny... Dosyć nazastawiał sideł na nią. Jak nie w ten, to w inny sposób... A teraz próbuje tego. Może być, że was poróżni i rozlecicie się! Zdarza się to w życiu już nieraz, że się ludzie poróżnili ze sobą przez czarta przeklętego i jego sprawki, które stworzył sam Pan Bóg. Zawszeć ciebie zazdrościli dziewczynie. Ha, trudno! Ja-ć tam Rózi za tobą rzucać nie będę. Już mi się to wszystko przejadło! Ale jeżeli chcesz odemnie posłuchać słóweczko: patrzaj, tę prawicę włożyłbym w ogień...

August. Pan Flamm na to przysięgał...

Bernd. Dla mnie może być dziesięć przysięg, abo i dwadzieścia! — Przysięgał fałszywie! Pogrzebał się i w tej doczesności i na wieki wieków...

August. Ojcze Bernd.

Bernd. Poczekaj małą sekundkę, zanim jeszcze powiesz choćby słóweczko w tej sprawie! O, widzisz: tutaj biorę te książki!... A tutaj biorę kapelusz... A tutaj zdejmuję tę misyjną skarbonkę... Teraz to wszystko stawiam jedno obok drugiego. A jeśli to prawda, co mówisz, w takim razie idę do księdza pastora... jeśli w tem wszystkiem jest

choć iskierka prawdy!... i tak mu powiem: widzi, ksiądz pastor... tak i tak... ja nie mogę już być przełożonym kościoła!... Ja nie mogę już zarządzać kasą misyjną! Adje!... I potem już mnie tu nie zobaczy żaden człowiek! Nie! nie! nie! Na miłość Boga nie!... A teraz gadaj!... Powiedz, co masz powiedzieć! Przestań mnie dręczyć tak niepotrzebnie.

August. I ja miałem te same myśli!... Sprzedam dom i grunt! Można przecie będzie żyć i gdzieindziej...

Bernd (w niesłychanem osłupieniu). August, chcesz sprzedać dom i grunt?! — A skąd to wszystko tak odrazu zwaliło się na nas?... a toć to... możnaby się prawie i przeżegnać, choć człowiek nie jest żadnym katolikiem... Czy ten świat już oszalał? Albo czy u progu czyha na nas sąd ostateczny? — Może to będzie moja ostatnia godzina! Odpowiadaj, August, więcej nie chcę wiedzieć!... Odpowiadaj — na zbawienie duszy!..

August. Cokolwiek się stanie, ojcze Bernd, ja jej nie porzucę!

Bernd. Możesz robić, jak ci się podoba! To mnie nic a nic nie obchodzi. Ja tego wiedzieć nie potrzebuję, czy mąż takie stworzenie może trzymać w domu. — Ja nie! Ja takim mężczyzną nie jestem... A więc...?

August. Ja nic powiedzieć nie mogę — a ino,

że coś tam z nią musiało być!... Czy to z Flammem czy z Streckmannem. —

Bernd. A więc to już z dawna...

August. Ja nic nie wiem.

Bernd. Ano, idę do księdza pastora! Weź szczotkę August, obczyść mnie!.. Tak mi jest, jakbym miał świerzb na ciele! (Wychodzi do sieni, w tej chwili wypada z kuchni Martusia i z największem przerażeniem rozmawia z Augustem).

Martusia. Boże, wydarzyło się pewnie jakieś nieszczęście. Rózia jest na strychu. Już dawno jest w domu.

Bernd (wraca znowu z śladami lekkiego przerażenia). Musi ktoś być na strychu!

August. Martusia wej! mówi, że tam jest Róża.

Martusia. Słyszę ją — idzie na dół — po schodach.

Bernd. Boże! przebacz mi grzech — ale widzieć jej nie chcę! (Siada, jak przedtem, przy stole, zatyka sobie uszy palcami i zatapia się w biblii. Róża zjawia się we drzwiach. Ma na sobie damską spódnicę i bluzkę perkalikową. Usiłuje kurczowo trzymać się prosto. Włosy zwieszają się w połowie rozwiane, w połowie splecione są w warkocz. — W twarzy jej widać jakieś nagłe, straszne postanowienie, jakiś goryczą zaprawiony upór. Przez kilka chwil rozgląda się po pokoju; rzuca wzrok na starego Bernda, schylonego nad biblią i na Augusta, który powoli odwrócił się od drzwi i udaje, jak gdyby przypadkowo i od niechcenia patrzał przez okno. Potem szukając oparcia, zaczyna Róża mówić z ogromną energią).

Róża. Dobry wieczór wam wszystkim...? Dobry wieczór!

August (chrząknąwszy kilkakrotnie). Dziękujemy!

Róża (gorzko, zimno). Nie chcecie mnie tutaj, to sobie odejdę.

August (trzeźwo). Dokąd to jeszcze chcesz odejść?.. Gdzieś była?

Róża. Kto się dużo pyta, ten i dużo usłyszy! Czasem więcej, niżby sam pragnął!.. Martusia, chodź ino tu do mnie.

Martusia (zbliża się do niej).

Róża (usiadła w pobliżu pieca i bierze ją za rękę. Potem głośno). Cóż to się ojcu stało?

Martusia (zalękniona, półgłosem). Ja przecie nie wiem.

Róża. Cóż to się ojcu stało? Możesz mówić trochę głośniej? Nie? A i August także... o, cóż się z tobą dzieje?... Masz słuszną przyczynę, August — tak jest, możesz mną gardzić! Potrafisz to! O tak! nie zaprzeczam!

August. Nikim na świecie nie pogardzam.

Róża. A ja wszystkimi — tak, wszystkimi.

August. Dla mnie to jest ciemne, co mówisz.

Róża. Ciemne! Tak jest... Przyznaję! ciemne jest! I słychać ryk dzikich zwierząt! Ale potem to się rozjaśni — naraz się rozjaśni!... Jeden w drugiego poczuje, jak piekło pali. — Martusia...

Bernd (słuchał chwilę, potem wsta e i uwalnia dłoń Mar-

tusi z rąk Róży). Nie zatruwaj mi dziecka! Precz z tą ręką!... Marsz! do komory! spać!...

Martusia (odchodzi z płaczem).

Bernd. Nic nie słyszeć! Nic nie widzieć!... Lepiej umrzeć! — (Zatapia się znowu w biblji).

Róża. Ojcze! Ja żyję! — Ja tu siedzę!... To coś znaczy, że ja tutaj siedzę!... Myślę, ojcze, żeście powinni to widzieć! I to jest świat... zatapiacie się... na to nie ma tu, żadnej już rady!.. O tak! żyjecie wszyscy w komórce! Nie wiecie, co się po za komórką dzieje! Ja wiem! Poznałam to śród męczarni!... Wszystko mi się usunęło z pod stóp... ja nie wiem... Coś jakby mur naokoło muru.. a ja stałam na szczerem polu, pośród nawałności... i nie było już nic — ani podemną, ani nademną... Wobec tego wszystkiego to wyście jak niemowlęta.

August (pełen lęku). Tak, Różo, jeżeli to prawda, co mówi Streckmann, toś składała przysięgi fałszywe...

Róża (z gorzkim uśmiechem). Ja nie wiem!..... Wszystko to być może.... nie mogę sobie tego przypomnąć teraz: kłamstwo i oszustwo — z tego świat się składa.

Bernd (wzdycha). Panie Boże.... ty moja ucieczko i podporo. —

August. Tak ty patrzysz na fałszywe przysięgi?

Róża. To nic! nic! Bo cóż to ma być? Tam

coś leży! tam coś jest!... Tam pod wierzbą! — To coś znaczy! Reszta nic mnie nie obchodzi! Tam dopiero stanęłam jak wryta! Tam dopiero krzyczałam i wrzeszczałam! Żaden Ojciec niebieski się nie ruszył!...

Bernd (przerażony, drżący). Bluźnisz naprzeciw Ojcu niebieskiemu? Do tego już doszło?! Nie chcę cię już znać więcej.

Róża (zbliża się do niego na kolanach). Tak, do tego doszło! A wy mnie znacie, ojcze! Sadzaliście mnie na kolana, a i ja wam też dopomogłam w niejednem!.. Teraz spadło coś na nas wszystkich — bronił się człowiek przeciwko temu i bronił...

Bernd (zdumiony). Cóż to ma znaczyć!

Roża. Ja nie wiem! Ja nic nie wiem!.. (Przykucnęła na podłodze i skamieniałemi patrzy przed siebie oczami).

August (przezwyciężony tym widokiem, porwany). Różieczko, wstań, ja cię nie opuszczę! Wstań, nie mogę patrzeć na to, żebyś tak leżała... My wszyscy jesteśmy grzesznikami! Kto taką ma skruchę, temu będzie wybaczone. Wstań, Różo!... Podnieście ją, ojcze! My nie należymy do tych... przynajmniej ja nie!... Mogę udawać faryzeusza! Widzicie, jak mi to dolega! Ale niech będzie, co chce, ja z tobą!.. Ja nie jestem sędzią! Ja nie sądzę! Zbawiciel nasz w niebie także nie sądził. Zaprawdę, on dźwigał naszą chorobę, naszą dolegliwość, a my go uważali za człowieka, którego Pan Bóg dręczy i męczy!

Możeście popełnili błąd niejeden!.. Zastanawiałem się nad tem... Ja siebie nie uwalniam! Zanim mnie poznała nadoprawdy, musiała już wypowiedzieć swoje amen! Co mnie świat obchodzi! O świat się pytać nie będę.

Róża. August! Uwiesili się na mnie, jak łańcuchy... nie mogłam przejść przez drogę! Prześladowali mnie wszycy mężczyźni... chowałam się! Bałam się! Taki miałam strach przed mężczyznami!.. Nic nie pomogło — działo się coraz gorzej! A potem wpadłam z jednych sideł w drugie, żem już zmysłów odzyskać nie mogła.

Bernd. Dawniej byłaś innego zdania — byłaś bardzo surowa! Potępiałaś Leichnerównę, ganiłaś córkę Kaisera!.. Chełpiłaś się — żeby ino kto się odważył zbliżyć do ciebie! Młynarzowego parobka wyprałaś po pysku. Dziewczyna, mówiłaś, która to robi, nie godna jest żadnej, mówiłaś, litości — niech się, mówiłaś, powiesi! A teraz gadasz o jakichś sidłach.

Róża. Teraz to rozumiem!

August. Niech się, co chce, stanie, ja z tobą, Różo! Sprzedam grunt! Pójdziemy w świat! Mam stryja w Brazylii! Jakoś się przepchamy! Na każdy sposób, tak albo owak... Teraz może dopiero jest w nas dojrzałość ku temu.

Róża. O Jezu! Jezu! Co się to zemną dzieje?

—Po co ja się tutaj przywlekłam?... Dla czego nie zostałam przy mojej dziecinie!

August. Przy kim dla czego nie zostałaś?

Róża. August! ze mną już koniec!... Z początku całe ciało było w ogniach, że oszaleć! — A potem jakieś oszołomienie... A potem nadzieja: biegłam, jak kocica z kociątkiem w pysku... A potem jakby człowieka psy odgoniły!

Bernd. Rozumiesz co z tego, August?

August. Nie!.. To dla mnie — — —

Bernd. Czy ty wiesz, jak mi jest na wnętrzu?.. Jak by się coś rozstępowało—jedna przepaść pod drugą... Co my tu będziemy musieli jeszcze usłyszeć!...

Róża. Przekleństwo! Będziecie musieli usłyszeć przekleństwo! Ciebiem widziała! Ciebie ja spotkam!.. Na sądzie ostatecznym! Paszczękę ci wydrę razem z kłami! Ty będziesz odpowiadał za to!...

August. O kim ty mówisz, Różo!

Róża. Ten, o kim mówię, ten już wie, że o nim!..

(Pada omdlała z wyczerpania na krzesło... Dłuższa pauza).

August (krzątając się koło niej). Co ciebie tak naraz napadło?... Przecieżeś...

Róża. Ja nie wiem... Żebyście mnie byli dawniej o to pytali, możeby... dziś ja tego już wie-

dzieć nie mogę—nikt człowieka należycie nie kochał...

August. Kto wie, jaka miłość silniejsza: szczęśliwa, czy nieszczęśliwa!

Róża. Silna jestem! Silna jestem!... Byłam silna, a teraz jestem słaba!... Teraz już koniec ze mną.

(Zjawia się żandarm).

Żandarm (głosem spokojnym). Córka ma podobno być już w domu. Stary Kleinert powiedział, że jest już w domu.

August. Tak, my tego przedtem nie wiedzieli.

Żandarm. Ano, w takim razie załatwię to wszystko za jednym zachodem — jest tu coś do podpisu. —

(Niespostrzegłszy Róży w źle oświetlonej izbie, rozkłada kilka papierów na stole).

August. Róża, masz tutaj coś podpisać.

Róża (wybucha śmiechem z pełną grozy, histeryczną ironią).

Żandarm. To panna jesteś?... Tu nie ma się co śmiać, moja panno. — Proszę.

Róża. Możesz pan jeszcze chwilę—pozostać...

August A to dla czego?

Róża (z palącym wzrokiem, chytrze). Udusiliście me dziecko.

August. Co ona mówi? Co ty gadasz, na miłość boską!

Żandarm (wyprostowuje się, patrzy na nią badawczo, ale mówi dalej, jak gdyby niczego nie słyszał). To będzie w sprawie Streckmanna.

Róża (j. w., z dzikim, urywanym śmiechem). Streckmanna? To on udusił moje dziecko!

Bernd. Dziewczyno, milcz! Oszalałaś!

Żandarm. Panna przecież wogóle — — —?

Róża. Co? — A czybym je mogła udusić rękami? Udusiłam dziecko rękami!!!

Żandarm. Panna chyba opętana! Co się pannie stało?

Róża. Jestem przy zdrowych zmysłach! Nigdy nie byłam opętana! Obudziłam się przy całkiem zdrowych zmysłach (zimno, dziko, z pełną grozy stanowczością). Nie miało żyć! Nie chciałam tego, aby znosiło moje męczarnie! powinno zostać tam, gdzie jego miejsce!

August. Różo! Zastanów się! Nie dręcz się! Chyba nie wiesz, co mówisz! Wtrącasz nas wszystkich w nieszczęście!

Róża. Wy nic nie wiecie! Nic nie widzicie! Niceście nie widzieli otwartemi oczami... Można widzieć tam za wielką łąką... przy olchach — — — za polem proboszczowskiem — — — kole stawu... tam możecie zobaczyć tę drobinę.

Bernd. A więc spełniłaś coś strasznego!

Róża (mdleje, mężczyźni spoglądają na siebie przerażeni i bezradni).

August (podpiera Różę, zajmuje się nią).

Żandarm. Najlepiej, jak pójdzie do urzędu. Tam może dobrowolnie złożyć zeznanie. Jeżeli to nie same fantazye, to jej to wyjdzie na dobre.

August (poważnie, z głębi). To nie są fantazye, panie wachmistrzu!... Ta dziewczyna... ileż ona musiała wycierpieć!...

KONIEC DRAMATU.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Biblioteka Główna UMK
300045807240

Biblioteka Główna UMK
300045807240